

PISMO DLA RODZIN.

№ 12. Warszawa, dnia 13 (25) Marca 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

Warszawie z odnoszeniem do domu:	na prowincyi w Cesarstwie i Królest.
rocznie. . . . rs. 6 k. „	rocznie . . . rs. 8
półrocznie. . „ 3 „ „	półrocznie . „ 4 k. „
kwartalnie. . 1 „ 50	w Austryi roczn. 14 guld.
miesięcznie . „ 50	w Prusach „ 24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12. w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

Od Redakcyi.

„Opiekun Domowy“ w kwartale II-im roku bieżącego wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyją i na dotychczasowych warunkach.

Przedpłata o pospieszne wnoszenie której dla uniknienia zwłoki w odbiorze pisma upraszamy, wynosi:

w Warszawie z odnoszeniem do domu

rocznie	Rs. 6
półrocznie	Rs. 3
kwartalnie	Rs, 1 kop. 50.
miesięcznie	„ „ kop 50.

Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą pocztową:

rocznie	Rs. 8
półrocznie	„ 4
kwartalnie	„ 2.

Wieś i Miasto.

Wybaczcie szanowni czytelnicy że poruszając jedną z kwestyj na czasie, nie sięgnę do źródeł dziejowych nie pocznę jak to mówią od Adama i Ewy — aby wyświetlić stosunek wsi do miasta jaki był dawniej. Co było już przeszło, stan średni prawie u nas nie istniał, a jeżeli istniał rządził się osobnemi prawami, posiadał swoje własne przywileje, i nie oddziaływał na losy społeczne tak wybitnie jak gdzieindziej. Wieś, a raczej jej posiadacze dzierżyli w ręku ster losów społecznych, i mieli jak wiadomo niejakie prawo do tego przodownictwa.

Wieś bowiem miała swoich przedstawicieli w historyi, któremi chlubić się mogła, wieś stała na czele społeczeństwa, i stała mniej lub więcej zasłużenie. Jak wszędzie tak i tutaj były cnoty i wady — czyny wielkie i postępki kary godne, ale w masie tych przodowników królowała wielka idea przewodnia, idea miłości powszechnego dobra, i dla tego ustępowano im pierwszeństwa.

Spadkobiercy wielkich imion i posiadacze znacznych majątków, zachowali w części dawną gościnność, zacność, mniej może dawną naukę cnoty i zalety ale bezczynni dziś w sprawach społecznych, wrodzoną im krewkość i butę na inne przenieśli pole. Był czas że czwórka lub piątka dzielnych koni, zamaszysty krakus na koźle, sławucka burka, — i kipiąca na lewe ucho czapka — znamionowały dobrze urodzonego człowieka. Człowiek ten pan samowładny na własnych gruntach gumnach i t. p. traktował z góry każdego co nie posiadał odpowiednich jemu akcesoryi, mieszkańca miasta zwał pogardliwie łykiem, brzydził się miarką i łokciem, a przemysł uważał jako rzecz dobrą dla żyda i niemca, ale nigdy dla herbownego brata, stworzonego na to aby jadł, pił, hulał, i używał darów bożych, jak na potomka krwi i kondycyi szlacheckiej przystało.

Nic dziwnego że mieszkańcy miasta, patrząc na tak zamaszysty okaz pustej buty, a czując się przytem pod względem umysłowego wykształcenia daleko wyżej, pogardliwie spoglądali na półpanka i wzruszali ramionami. Inni zwłaszcza licho płatni urzędnicy — umieli wyzyskiwać na swoją korzyść pańskie usposobienia i zachcianki. Skoro więc szlachcic miał jakie interesa w mieście — zaraz występowały na scenę śniadanka, objadki, kolacyjki, aby należycie usposobić, i przychylnie nastroić umysły szanownych sędziów, naczelników, referentów i pomocników. Szły także wozy ze zwierzyną — owsem, sianem, kartoflami, drzewem i wszelakim produktem *który na wsi nic nie kosztuje*, a często gęsto ciepłą ręką, jakie kilkanaście lub kilkadziesiąt rubelków, wsuwało się w kieszeń *wpływowych* indywiduów. Szlachcic karmił, poił, płacił za szampan i cygara, przegrywał znaczne kwoty w karteczki — a nareszcie ubiwszy interes, klął łyków na czem świat stoi uciekając z pustą kieską do domu. Później gwarząc z sąsiadem przy kieliszku, nic dziwnego że lekko traktował ludność miejską — bo wiedział że aby tylko brząknąć sakwą, szklanką lub talerzem, to już *dignitas urbi*, jak muchy na lep lgnęła do niego.

Obywatelom wiejskim działo się dobrze, a pieniądz ma swoje znaczenie. Ludziska kłaniają się zbogaconym handlarzom, lichwiarzom, całują stopki uwalane w błocie, aby tylko to błoto posypane było piaskiem złotym — dla czegoż nie mieli kłaniać się obywatelowi?. Płacił hojnie, podejmował suto, tańczył mazura jak Turczynowicz en miniature, a przytem miał takie dzielne zacięcie, że wszystkie panny naczelnikówny, sędzianki, rejentówny i t. d. wolałyby pójść za niego jak za jakiego kancelistę, referenta, lub urzędnika do szczególnych poruczeń. Nic dziwnego że szlachcic musiał mieć nieprzyjaciół. Kanceliści spoglądali nań chmurnie, boczyli się aplikanci, mógł

gniewać się nawet pomocnik naczelnika ale cóż pan naczelnik żył w ścisłych stosunkach przyjaźni ze *szlagonem*, chcąc nie chcąc trzeba go było tolerować. Obywatele wiejscy mieszkając nawet w miastach gubernijalnych, tworzyli osobne towarzystwa, przypuszczając do niego wybrańców. Mając większe dochody mogli wydawać bale, rauty — panie wiejskie ubierały się w Warszawie lub we Wrocławiu, nic więc dziwnego że mieszkańcy miasta szczuplejsze mający fundusze, zawistnym spoglądali okiem na ową kastę przybyszów, i często słusznie, często niesłusznie przypinali jej łatki i łaty. Ale czasy te już przeszły. Dziś obywatel wiejski ciężką pracą zarabia na kawałek chleba a w długach miły Boże po uszy! Ani widać dawnej buty, ani odnaleść tego jarmarcznego zacięcia — ani lakierowanych butów. ani kurtki, ostróg i szpierózgi.

W grono ziemian weszło wielu obcych przybyszów, stan rolnika nie jest tak powabnym jak niegdyś, potrzeba nauczyła pracy — zakłady wyższe naukowe wniosły światło w koło ziemiaństwa, dzisiejsi rolnicy zaledwie że podobni do tych co byli przed laty kilkunastu. Zmieniła się i ludność miastowa. Wielu synów szlacheckich szuka chleba w fabryce, w handlu, w rzemiośle, inni poświęcili się prawu, inni medycynie, część właścicieli kamienicznych pokupowała majątki ziemskie, część urzędników odzwyczaiła się od śniadanek... i t. d. bo nie ma komu za nie płacić. Zrównała się mniej więcej skala inteligencyi, i na wsi i w mieście są ludzie wykształceni, zrównały się nawet warunki towarzyskich wymagań, a jednak wieś i miasto spoglądają na siebie ukosem, wieś i miasto to dwa żywioły, które zespolić i pobratać dotąd niepodobna. Pytamy dla czego? pytamy skąd biorą początek owe kwasy i niezadowolenia. Musimy otwarcie powiedzieć że to jest wadą wychowania z jednej — a nieszczęsnym tradycyjnym dotąd zapamiętanym zabytkiem z drugiej strony. Wadą wychowania! zawołacie oburzeni... Tak jest niestety odpowiem. Młodzież mieszkająca po miastach, toć najczęściej dziatwa ubogich rodziców, albo ludzie własną ciężką pracą wywalczający sobie stanowisko, albo nareszcie tacy co zaledwie średnie posiadają wykształcenie, dla niemożności wyższych studyjów naukowych. I pierwszym i drugim i trzecim zbywa na stosunkach towarzyskich, na możności nabycia tego poloru i ogłady, które w salonie są nieodzowne, i które u nas torują młodemu człowiekowi drogę w te sfery społeczne gdzie ten polor niestety! przedewszystkiem się ceni. Nic więc dziwnego że młody urzędnik, przemysłowiec, a nawet i posiadający dyplom uniwersytecki, jest w kłopotliwym położeniu gdy mu wypadnie kilka słów pomówić z kobietą, że go *żenuje* obce mu otoczenie, że czuje się w nieswoim żywiole, i radby umknąć czemprędzej. Pierwszy lepszy salonowy blagier będzie lepiej kłaniał się, tańczył a nawet rozprawiał niż magister lub doktór filozofii, pierwszy lepszy dyletant zapędzi w kąt prawdziwie uczonego, i zaledwie człowiek rozumny oceni że ten na pierwszy rzut oka trzech nieumiejący zliczyć magister — nie na darmo przepędził lat kilkanaście nad książką. Przypuśćmy że młody obywatel wiejski nie ma odpowiedniego wykształcenia — ale bywając od małego dziecka w świecie, umie się znaleść jak należy, dobrze tańczy, potrafi poprowadzić salonową konwersacyją—ot i już znośny człowiek i pożądany przez płeć piękną. Nie biorą go na egzamin, bo prochu nie wymyśli, wszędzie jest jak u siebie a tradycyjnie przywiązana do stanu obywatelskiego zamożność, i pewnego rodzaju przywileje towarzyskie dają mu for między znakomitą liczbą ludzi powszednich przekonań i pokroju.

Ten polor i ogłada cechują także kobiety owego wyższego czy tam wyborowego towarzystwa *crème de societé*, a chociaż są to po większej części pięknie ułożone lalki, jednak to ułożenie jest bez zarzutu.

Te cechy powierzchowne— stan majątkowy pozwalający na większe wydatki — oraz stara żyłka herbowej dumy, rozdzielają wieś i miasto chińskim murem—za który rzadko kto się wychyli, a pierwsze próby ku zjednoczeniu i zbliżeniu się zwykle bywają niepomyślne.

A jednak to zbliżenie się jest konieczne. Wieś i miasto w tak ścisłym ekonomicznym i cywilizacyjnym zostają z sobą związku, że wartoby ten związek umocnić.

Lekceważenie ziemian naszych daje się odczuć nietylko w usposobieniu i sądach miejskiej ludności, ale także w literaturze, a przedewszystkiem w dorywczych artykułach całej niemal prasy. Jestto w części sprawiedliwe, w części niesłuszne. Bezwątpienia są między rolnikami ludzie zacofanych pojęć—ludzie którzy nie pomną iż żyją w końcu 19-o wieku, ale jest wielu zacnych kochających kraj pracowników—wiele umiejętnych specyjalistów i nieposzlakowanej prawości obywateli. — Szlachta jakkolwiek ma swoje wady i nałogi, ale ma także swoje cnoty. Ów szlagon w juchtowych butach objeżdżający na stępaku folwarki, posiada w żyłach swoich krew ciepłą, i serce a potrzeba tylko umiejętnie poruszyć te strony tajemne, jakie w jego piersiach napięte, aby w tym hreczkosieju poznać coś więcej niż producenta pszenicy i wełny.

Zarzucają właścicielom ziemskim że są nieudolni—że chorują na panów, że nie wyrzekli się zastarzałych przesądów, że marnują bogacto krajowe licho gospodarując — wycinając lasy—zarzucają iż w głowach ich nie ma logicznych pojęć o kredycie, obrocie kapitałów i t. p.

Gdyby szanowni krytycy lepiej się zapoznali z warunkami dzisiejszego gospodarstwa, toby się przekonali iż prawdziwie cudem jakimś rolnictwo nasze tak stoi jak dzisiaj. Brak kredytu, drogość robotnika, brak konkurencyi handlowej i wynikające stąd nadużycia kupców i handlarzy, nieuregulowanie służebności powodujące niemożność urządzenia porządnego systemu gospodarczego, niedostatek kapitału obrotowego, oto warunki, w obec których trzeba żyć wychowywać dzieci, i wytężać wszelkie siły i środki aby choć koniec z końcem związać każdego roku.

Nieświadomi lub źle poinformowani nie wiedzą o tem że kupiec przemysłowiec, bankier zawsze kredyt znajdzie, i podratować się potrafi. nieświadomi nie biorą w rachubę że ziemia mniejszy procent niż przedsiębierstwo lub handel przynosi, że jeden rok nieurodzaju, gradobicia, pogorzeli lub niskich cen zboża rujnuje właściciela ziemskiego, a jednak rzucają nań kamieniem nie pomnąc że te kamienie rzuca każden kto chce, że nikt tyle klęsk i tyle poniewierki nie poniósł, co ten nieszczęśliwy rolnik, ów wygodny cel drwin, śmiechu i kazań na przeróżne tematy obrabianych. Czemuż nie napadamy na kapitalistów, co żadnych ciężarów nie ponoszą, podatków nie płacą, nic nie robią tylko odcinają kupony lub biorą 12°/° procent od wypożyczonych sum i żyją wygodnie. Czemuż nie zwracamy się do tych co w ogniotrwałych kasach chowają liczne grosze, aby ten pieniądz obrócili na podniesienie przemysłu rolnego, aby założyli banki kredytowe z uczciwą stopą procentu, aby dali w ręce specyjalistom te kapitały jakie obecnie tylko na pożyczkę używają. Czemu nas nie razi kiedy urzędnik mało stosunkowo pobierający pensyją, wydaje wieczory, grywa grubo w karty, spija Roederera i codziennie spożywa wytworne kolacyjki w gronie przyjaciół? Czemu nie pytamy się skąd na to ma fundusze? A czy niejeden jegomość tak wielki demokrata z zasady potępiający drugich, sam stokroćnie gorszy gdy drze łyka gdzie można uczciwie czy nieuczciwie? Miasto choruje na panów i żyje nad stan może więcej niż wioska, miasto ma w sobie wiele wad i błędów, wiele zacofanych przesądów, wiele martwoty, i jeżeli rzec prawdę można, to prócz Warszawy, nie pokazały dotąd miasta prowincyjonalne owego ducha intuicyi i postępu, którego brak wioskowym mieszkańcom zarzucają.

W miastach są także koteryje i koteryjki, jest kastowość choć się jej wypieramy. I tu dobierają się kółka towarzyskie spoglądające na siebie ukosem i wydrwiwające się wzajemnie, tu także urodzenie, pozycyja socyjalna i majątek odgraniczają jednych od drugich. Dla tego też życie towarzyskie ginie i zaciera się, nie ma domów gdzieby można spotkać ludzi różnych warstw społecznych i zawodów, gdzieby porozmawiać poważniej, pobawić się ochoczo można było, gdzieby młodzież znajdowała praktyczną szkołę towarzyską, gdzieby miała widoczny przykład jak się zachować między ludźmi potrzeba. Trudno to bezwątpienia, aby ktoś mający szczupłe dochody prowadził w mieście dom otwarty, ale jest wielu adwokatów, rejentów, lekarzy i kapitalistów, coby mogli śmiało choć raz na miesiąc przyjąć u siebie kilkanaście osób, bez uszczerbku i różnicy w wydatkach. Gdyby tacy panowie postarali się o usunięcie zielonych stolików, gdyby śpiew, deklamacyja, rozprawy o literaturze, sztuce i kwestyjach bieżących, które społeczność obchodzą, mogły wyrugować tę nudną i bezsensowną paplaninę, jaka króluje dzisiaj w ich salonach, czyżby każden posiadający choć iskierkę inteligencyi i wykształcenia, nie pospieszył chętnie aby się coś nowego dowiedzieć, i swoje przekonania z kim drugim podzielić. Młodzież wiejska przybywająca do miasta, chętnie by do takich domów spieszyła, brała udział w zabawach, zawiązywała stosunki z miastem, i powoli zacierał by się ten przedział i wyrabiało przekonanie, że i tu i tam są ludzie, że nie wyszydzać się wzajem, aleśmy zespalać się w jedno

kółko braterskie powinni. Starsza inteligencyja mogłaby wspierać radą swoją, młodzież poczynającą zawód społeczny, wskazywać drogi, jakiemi podążać trzeba, zachęcać do czytelnictwa, wskazywać dzieła godne przeczytania, zwracać uwagę na tę lub ową kwestyją społeczną. Wieśniak niebyłby naówczas anachoretą, nie byłby w pojęciach miejskiego ogółu maszyną do siania owsu lub grochu, białym murzynem przekupniów bohaterem jarmarcznym i zarozumiałym szlagą, ale człowiekiem ciężko pracującym na chleb powszedni, na dobrobyt kraju, na produkcyją jego, byłby tak samo dobrym specyjalistą w kwestyi gospodarczej, jak kto inny w kwestyi procedury, medycyny, przemysłu i t. p.

Gdybyśmy znów wzięli pod uwagę, że miasto o tyle lepiej stoi finansowo, o ile wieś od niego nabywa i odwrotnie, to kto tylko ma jakie takie wyobrażenie o ekonomice, pojąłby czem dla wszystkich warstw społecznych jest produkcyja rolna, i że połączenie sił finansowych i zawiązanie instytucyi kredytowych, jednako dla wsi i miasta służących, jest dla rozwoju rolnictwa i przemysłu rolnego rzeczą konieczną, a dla całego krajowego dobrobytu rzeczą nieodzowną. Wychodząc z tego choćby utylitarnego stanowiska, miasto powinno podać rękę wsi, podźwignąć ją z przykrego i trudnego położenia, uruchomić swe kapitały uwięzione w papierach procentowych. Otworzyć kredyt rolny do uorganizowania którego każden możniejszy właściciel bez żadnej wątpliwości rękę przyłoży. Miasto jeżeli rzeczywiście posiada inteligiencyją, i wyższy polot ducha, niechże nie marnuje tych, cennych skarbów, ale oświeca i naucza tych którym tego światła brakuje. Nawykliśmy zostawiać klasy społeczne ich własnemu przemysłowi, widzimy w narodzie kasty i koteryje, nie obchodzi nas upadek moralny lub materyjalny jednostek. Pojęcia demokratyczne którym z zasady hołdujemy, nie gruntują się na nienawiści do herbów i tytułów, ale przyznają ludziom równość w dziedzinie nauki, zasługi, cnoty i pracy społecznej. Zaciekłe rzucania się na tradycyją, nienawiść dla szlachetczyzny, są tylko szumowiną nikłą, ale nie zasadą w imieniu której działać i walczyć należy. Społeczeństwo dojrzałe, pracuje rozumnie około swojego dobra i swoich interesów, nie rozpierzcha się i nie dzieli, ale spaja, łączy i wspiera Społeczeństwo takie wie o tem, że głowa Jana, Pawła lub Macieja, jego ręce i kieszeń do ogółu należą, że szewc nie będzie istniał bez pewnej liczby jednostek noszących buty, literat bez czytelników, że nie będzie bułek chleba i mięsa, jak się pszenica żyto i trawa nie urodzi, że na ostatek wszyscy od siebie zależymy wzajemnie, i upadek jednych, da się doskonale we znaki drugim. *G. D.*

OMANKA
POWIEŚĆ
PRZEZ
Jana Zacharjasiewicza.

(Ciąg dalszy.)

— Otóż wylazło szydło z worka — rzekła — podobał ci się posag panny Salomei. W tych złotych ramkach ujrzałeś ją i zakochałeś się. Przecież średnia córka radcy jest piękniejszą!

Karolowi uderzyła krew do głowy.

— Wiem co chcesz mówić — przerwała mu w połowie słowa pani kasyjerowa — ale to zostawmy na potem. Pozór rozsądku byłby jeszcze w zdaniu, że bez żadnych funduszów, niepodobna zawiązywać rodzinnego kółka. Jest w tem racyja nawet. Człowiek który już stanął na miejscu i niczego od przyszłości się nie spodziewa — może tak powiedzieć. Ale ty masz lat dwadzieścia kilka, jesteś dopiero na wstępie do życia — możesz rozpocząć od skromnego poddasza, a skończyć na pierwszem piętrze z balkonem. Mój mąż nie miał tych stu-



Odpoczynek. (rysował na drzewie Baranowski).

dyjów co ty, a gdyśmy się pobrali, to nie było co na obiad zgotować. A dzisiaj dzięki Bogu, mamy dach własny nad głową i niejesteśmy głodni. Ale ślub nasz nie odbył się z afektem, nie mówiono o świetnej partyi! jakto każdy z was dzisiaj marzy!...

Nie mógł już dłużej wytrzymać Karol. Korzystając z przestanku, w którym gadatliwa ciotka chciała nabrać oddechu do dalszego kazania, wpadł głosem rozdrażnionym:

— Nie wiem, dla czego i na co ciotunia prawi mi takie morały. Klnę się na Boga żywego, że ujrzawszy pannę Salomeę, nie pomyślałem ani o dworku ani o kamieniczce jednopiętrowej ze ślepą facyjatką. Widziałem tylko kobietę, która nie tyle pięknością ciała co pięknością duszy i serca sprawiła na mnie niezatarte niczem wrażenie, którego niczem pokonać nie mogę!

— Piękność duszy i serca!... Czy masz dowody, że ta piękność duszy i serca dla ciebie się odsłoniła?

Aplikant sądowy zamilkł i z zadziwieniem spójrzał na ciotkę.

— Czy jesteś pewny, że ta piękność nie była rozbudzona marzeniem, które daleko było od ciebie?

Aplikant patrzał ciągle w milczeniu.

— Któż może zaręczyć, że w tej pięknej duszy i w tem pięknem sercu, nie rodziły się właśnie wtedy pragnienia, które po za ciebie wychodziły?...

— Ciotunia jesteś okrutną, aby takiem przypuszczaniem mnie dręczyć! odparł Karol i westchnął.

Pani kasyjerowa ukryła uśmiech w zmarszczki twarzy, wzięła siostrzeńca na bok i rzekła:

— Są to wprawdzie przypuszczenia kochany Karolu, ale przypuszczenia te opierają się na pewnem oparciu.

Panna Salomea jest rozbitkiem świetnej niegdyś rodziny. Rozsądna babunia starała się wprawdzie całem wychowaniem wnuczki, zatrzeć tradycyje i wszelkie ogniwa tej minionej pozycyi, przyzwyczaiła ją do pracy i rozsądnego życia.... ale któż zaręczy, że te tradycyje rodowe, nie odezwą się kiedy w piersi kobiety? Wszak możemy wilka i lisa podchować w domu, a przecież gdy czas nadejdzie, pójdzie wilk do lasu, a lis weźmie się do naszych kur i kaczek!...

Twarz Karola pobladła.

— Niech cię nieprzestrasza to widmo. Mówię, jak może być najgorzej. Być może że tak nie jest. Ale widziałam ja nieraz podobne rozbitki dawnej świetnej pozycyi. Jakiś zły duch podniecał w nich ustawicznie złowrogie zachcianki do dawnych lotów — zrodzony i wychowany w klatce orzeł, rwał się ustawicznie ku skałom i górom, gdzie gniezdzili się jego praojcowie — jakaś dziwna pamięć powstaje prawem dziedzictwa na dnie duszy, która póty się miota i niepokoi, póki sama nie rozbije się o nieubłagane zapory świata! A w takim razie zwykłe życie wykoleja się — następują katastrofy i wszystko kończy się żalem, żeśmy się dali omanić!...

Karol pochwycił ciotkę gwałtownie za ręce.

— Nie mów dalej ciotuniu — zawołał z boleścią — bo słowa takie budzą we mnie dziwny opór, aby mimo to iść dalej, choćby przebojem! Słyszałem nieraz, że są pewne kobiety demoniczne, o których się wie, że nieprowadzą do szczęścia, a jednak, idzie się za niemi w szale i rozpaczy. Czuję, że i ja mógłbym to zrobić choćby panna Salomea, była takim samym demonem, jakim ciotunia mnie straszysz! Czuję bowiem że ją kocham, a kocham jeszcze więcej po tych słowach, jakiemi ciotunia od niej odłączyć mnie chciałaś!

— Zły to znak — odparła z uśmiechem pani kasyjerowa — jeżeli sam tak mówisz. Ale tym razem nie strasz się tak bardzo. Salusia mogła by być z natury rzeczy takim złowrogim demonem, ale dzięki Bogu i babuni, nie jest nim i prawdopodobnie nigdy nie będzie. Więcej ci jeszcze powiem. Między tobą a nią nie ma takich zapór, o jakich dawniej mówiłam. Wyrozumiałam to z rozmowy pani Rabsztyńskiej, która przed godziną była u mnie, a na jutro zaprasza cię na kawę.

Aplikant sądowy nie mógł przyjść do siebie.

— Jakto?.. Pani Rabsztyńska sama... sama... sama mnie...

— Zaprasza na kawę — nic więcej. Zdaje się, że reszta od ciebie zawisła i od twojej szczęśliwej gwiazdy!

Aplikant ciągle był nieprzytomny.

— Nie mogę pojąć... nie umiem zrozumieć, dla czego ciotunia.... dla czego pierwej....

— Pierwej chciałam ci to wszystko powiedzieć, co mi rozsądek nakazywał, a kiedy to twoich uczuć nieprzełamało, podzielam się z tobą radością, że sytuacyja w takim razie jest ci bardzo przyjazną!

Karol pochwycił ręce ciotki i zaczął je okrywać pocałunkami. A pocałunki te były gorące zawsze i serdeczne.

— Droga ciotuniu! bełgotał w nadmiarze szczęścia — nie uwierzysz jak jestem szczęśliwy, ile słodyczy wsiąka obecnie w biedne serce moje!... A serce moje jako serce sieroty potrzebuje tej słodyczy, jakiej dać mu nie mogła kochająca matka!...

I rzewnie zapłakał biedny aplikant — i kasyjerowa nad nim się rozpłakała — a gdy stary kasyjer niezastawszy radcy, do domu wrócił i w domu takie obfite łzy zastał i urywkowe słowa o szczęściu, sierotach i nieboszczykach usłyszał, dobył z systematycznością porządnego człowieka, z kieszeni dużą, kraciastą chustkę i jako trzeci przyłączył się do dwojga płaczących.

Chustka kraciasta nasiąkła już była obficie łzami, zanim stary kasyjer dowiedział się o co to chodzi — i jako najprzytomniejszy ze wszystkich uznał za rzecz stosowną wypowiedzieć swoje zdanie, że tu właściwie żadnych łez nie trzeba.

Za tem zdaniem starego kasyjera poszła i żona jego, a osuszywszy oczy spojrzała z wyrzutem na aplikanta, który nie wiedzieć dla czego, spowodował tak hojny szafunek wody serdecznej. Aplikant przyznał się do winy, a ucałowawszy jeszcze raz rękę ciotuni, przepraszał jak najmocniej za taką turbacyją spokoju domowego.

— Ani mi na myśl nieprzyszło wychodząc na wista — rzekł stary kasyjer ocierając brodę łzami pokapaną — że i wista nie zastanę i płakać będę!... Tak to w życiu bywa mój kochany Karolu — że człowiek i partyjki nie znajdzie i jeszcze zapłacze!...

Aplikant nie słyszał słów ostatnich, bo całą duszą pogrążył się w marzeniach o dniu jutrzejszym, w którym filiżanka kawy nalana rączką Salusi, będzie dla niego symbolem najsłodszych serca pragnień.

V.

I tak dzień jutrzejszy miał być wielkim dniem dla dwojga ludzi.

Ciekawą jest zawsze rzeczą, jak się człowiek do takiego dnia przygotowuje. Gdyby w przededniu każdego ważniejszego kroku umiano zrobić dobry i dokładny rachunek tego, co nas do tego kroku prowadzi, byłoby może w życiu naszem mniej rozczarowań i łez tak zacnych, jakie świeżo wylała, przezacna kasyjera rodzina.

Ale o rachunek taki jest bardzo trudno. Zresztą sprzeciwia się on naturze rzeczy. Szczęście, którego oczekujemy, podnieca serce do marzeń, a przy marzeniach rachować nie można.

To nie marzyć — mówią trzeźwi ludzie.

Rada rozsądna i dobra, ale trudna do wykonania. Czemże bowiem jest szczęście nasze? Czyż nie jest ono podobne do portu, do którego zdąża żeglarz, po długiej żegludze na falach morza? Czyż w takim razie nie widzi jego dusza już naprzód tej upragnionej przystani, nie maluje jej barwami jaskrawemi, jakich tylko wyobraźnia może dostarczyć?... Czyż naprzód nie układa sobie wszystkich tych rozkoszy, jakie czekają go u mety tak długiej podróży? A czyż to nie jest marzeniem? Dusza człowieka za pomocą wyobraźni dotyka się rozkosznie przyszłej rzeczywistości, chociaż tej rzeczywistości jeszcze nie ma!...

Nie można zatem mieć za złe Salusi, jeżeli próbowała w wyobraźni swojej dotknąć się owego dnia jutrzejszego, o którym babunia w sposób tak zagadkowy przed nią wspomniała.

Przyzwyczajona do posłuszeństwa i milczenia nie pytała babuni, co ten dzień jutrzejszy przynieść jej może, — a nawet pytać o to nie mogła, bo serce w takim razie unika wszelkich pytań. Ono chce samo znaleść i odgadnąć a przedewszystkiem lęka się pośrednictwa. Na widok trzeciej osoby może nawet umilknąć i więcej się nie zbudzić!...

Tak rozumowała sobie Salomea i była wdzięczną babuni, że w sprawie tak delikatnej umiała być powściągliwą i uczucia jej dziewicze uszanowała. Widocznie wiedziała o czemś babunia, ale tego niewypowiedziała. Mówiła wprawdzie coś o śnie swoim wieszczym, ale te słowa były tylko delikatną zasłoną tego, o czem wiedziała.

Szerokie więc pole miała Salomea do domysłów. Przeszła w pamięci wszystkich mężczyzn, których kiedykolwiek w drodze do kościoła lub w domku pani kasyjerowej widziała i przy każdym powiedziała koleją: to nie ten! Wreszcie skończyły się domysły — a od domysłów do marzeń tak niedaleko!...

Zaraz po ostatnim znajomym mężczyznie, jakim był syn aptekarza, chłopiec ładny i zgrabny ale próżniak i głupiec — wysunęła się ja-

kaś postać wcale nieznana ze słodkim uśmiechem i czarnemi wąsami....

I tak na piękne rozpoczęło się marzenie!

Za jedną postacią następowała druga — za czarnemi wąsami szły jasno-bląd i ciemno-kasztanowate — za zwykłym surdutem szedł frak, za czapką kapelusz składany.... a do fraka i składanego kapelusza potrzeba było salonu o francuzkich kobiercach... potrzeba było karety i ładnych koni, służby i w konsekwencyi podróży za granicę....

Ulękła się w końcu Salomea tak gwałtownych skoków swojej wyobraźni i czemprędzej, aby się babunia niedowiedziała, wróciła z Paryża, Londynu i Madrytu do dworku przedmiejskiego. Dla zamaskowania tej niedozwolonej wycieczki rozłożyła przed sobą żywot św. Salomei swojej patronki.

Weszła na to babunia.

— O czem tak dumasz moje dziecko? zapytała patrząc na zmarszczone brwi wnuczki.

— Czytam o św. Salomei — odpowiedziała cicho Salusia i zarumieniła się.

— Dobrze moje dziecko! Przed każdym ważnym krokiem dobrze jest poradzić się swego patrona i w życiu jego szukać dla siebie wskazówki. Siądę przy tobie i razem odczytamy kilka kartek.

Salomea zaczęła czytać, ale czytanie nie szło jakoś gładko. Jąkała się i myliła, a czasem wychodziły nawet z tych pomyłek jakieś dwuznaczniki, do których można było tylko w głowie czytającej klucza dostać!

Na szczęście wszedł do pokoju sąsiad, krupiarz z zawodu, z którym miała babunia sprawę o szkodę w burakach. Dla załatwienia tej sprawy wyszła z sąsiadem do gabinetu, a Salomea została znowu na pastwę swojej wyobraźni!

— Cóż może mi przynieść dzień jutrzejszy, o którym babunia tak tajemniczo wspomniała? zapytała siebie skwapliwie, gdy tylko babunia drzwi za sobą zamknęła — któż może do nas przyjść lub przyjechać? Żadnego tak dalece nie znam... a może wujaszek Szambor upatrzył dla mnie jakiego węgra z zakręconemi do góry wąsami jak rogi wołów węgierskich.

I chwilkę pomarzyło się o Węgra śniadej twarzy...

Tymczasem zrobiło się ciemno. Babunia zajętą była gospodarstwem domowem. Salusia słyszała przez drzwi, jak z kucharką naradzała się o bułkach i pierożkach, które miały być upieczone na dzień jutrzejszy.... jak kazała jej kupić funt najlepszej kawy i upalić według domowej recepty, aby nie była ani zbyt blada ani ciemna...

Dodało to nowej podniety do marzeń. Ponieważ zaś ciemno już było do czytania, usiadła Salomea do fortepijanu i wzięła kilka akordów. Uczuła w palcach jakiś dziwny strumień, o jakim dawniej wyobrażenia nie miała.... puściła go po klawiszach i sama nie wiedziała jakim sposobem tworzyły się przecudne akordy, pomiędzy które jak bluszcz wiosenny wiła się melodyja słodka, tęskna i rzewna.

Muzyka — to dziwna sztuka! Nie ma w niej ani słów ani zdań pewnych — a jednak jak wiele ona wyraża, jak dziwnie rozmawia z człowiekiem, zapytuje i odpowiada jakby w duszy czytała!...

Tak pomyślała sobie Salomea, gdy wysokie tony łączyła z niskiemi i w ich harmonii słyszała najwyraźniej dyjalog pary zakochanej!... Widziała nawet wyraźnie że *on* miał jasne wąsiki i bródkę hiszpańską a *ona* patrzała na niego filuternie niebieskiemi oczyma, które były podobne do własnych jej oczu... Poplątawszy misternie różnorodne akordy wyczytała z nich z przestrachem, że zakochanym grozi wielkie niebezpieczeństwo, bo matka (a może babunia) sprzeciwiała się ich związkowi a nawet zmuszała córkę aby kochankowi dała od kosza!... Nastąpił wielki lament nieszczęśliwego konkurenta... tony stawały się co raz rzewniejsze i smutniejsze....

— Czy lubisz pierożki z kapustą czy z makiem? zapytała śród najtragiczniejszej katastrofy babunia która teraz z miarką mąki i z talerzem maku białego weszła do pokoju!

— Z makiem! z makiem! odpowiedziała z pewnem rozdrażnieniem Salomea.

— Zdaje mi się, że to będzie niestosowne... o maku jest niedorzeczne przysłowie, a gość jutrzejszy gotów je wziąść do siebie!

— To z kapustą! krzyknęła z rozpaczą marzycielka i zagłuszyła słowa własne kaskadą akordów.

— Ale kapuśniaczki niedają się do kawy... czy słyszysz Salusiu?... Czego tak głośno bębnisz dzisiaj? Szkoda klawikordu! Organista niedawno wziął dwa złote za strojenie!...

— Ach! kiedy te akordy muszą być bardzo silne! Czyż babunia nie słyszy co one mówią?

— Co one mówią?

— To przecież nie głos metalu ale głos ludzki!

— Głos ludzki w baranich strunach! Czyś ty oszalała?

— Muzyka przecież ma tak samo słowa i myśli jak człowiek.

— Co też ty bredzisz!... Muzyka jest muzyką. Sprawia nam pewną przyjemność i jest tem dla ucha czem kolory dla oka! Czyś słyszała kiedy aby który kolor był głupi, a drugi mądry?...

— Umiejętne użycie kolorów tworzy przecież obraz który mówi tak samo jak pisana kronika...

— Ot lepiej zrobisz — odfuknęła babunia, że pójdziesz do kuchni i Małgosi dopomożesz. Trzeba upiec na jutro ciast francuzkich i kilka babek. Stokroć lepiej, jeżeli panna przed konkurentem wystąpi z własnem pieczywem niżeli z sonatą Bethowena, o której po ślubie ani mąż ani żona nigdy wspominać nie będą! Jest to już lep zużyty — porządny wróbel na niego się nie złapie!

Salomea westchnęła, ale przyzwyczajona do posłuszeństwa i milczenia wyszła do kuchni, aby przygotować mąkę do ciast francuzkich i ubić na pianę pół-kopy żółtek. Za to w nagrodę postanowiła w duchu, gdy babunia spać się położy, wrócić do przerwanych marzeń swoich i pieścić się niemi aż do rana dnia jutrzejszego.

Ach ten dzień jutrzejszy, ten dzień jutrzejszy!....

Wreszcie nadeszła upragniona chwila. Babunia spać się położyła, a Salomea według porządku domowego miała to samo uczynić. Pożegnała więc babunię, i wsunęła się do swego pokoiku, w którym już była panią samowładną.

Pokoik ten przypierał do saloniku z fortepijanem. Można było usiąść do fortepijanu i dalej wikłać dzieje dwojga kochanków — ale wzgląd na babunię nie pozwalał na to. Również i książki nie można było czytać, bo babunia po dziesiątej godzinie nie lubiła światła w domu częścią dla oszczędzenia, a częścią z zasady. Wszelkie wykroczenia w tym względzie były ostro karane, a znaczne szpary we drzwiach ułatwiały kontrolę.

Niepozostało więc nic innego Salomei, jak snuć dalej po ciemku swoje marzenia o dniu jutrzejszym!

W pokoju nie było tak bardzo ciemno. Była jasna noc lipcowa. Księżyc dążył właśnie do pełni, a miryjady gwiazd i gwiazdeczek dopomagały mu swojem skromnem światełkiem, aby uśpioną ziemię jako tako przyzwoicie oświecić.

I bardzo dobrze wypadło oświecenie. Osobliwie z okienka Salomei wyglądało ono prześlicznie. Z poza szeregu topoli, które jak straż z żołnierzy stały ordynkiem przy frontowej ścianie dworku, wynurzało się ciemno-szafirowe niebo z jasnemi rzutkami. Księżyca nie było wprawdzie widać, ale za to z tym większym efektem oświecał przedmioty stojące naprzeciw dworku. Zdawało się nawet, że z fotografa zwyczajnego chciał dzisiaj przejść w artystę z dyplomem akademickim, bo nie tylko kunsztownie poprzeplatał promienie swoje pomiędzy liście i konary topoli, ale nawet podupadłemu domkowi ślusarskiemu, który stał na przeciwko, dał oświetlenie artystyczne. Ściany osobliwie, zazwyczaj brudne i odrapane, wybielił swą farbą, przesunął się z dyskrecyją po szparach i dziurach w dachu a z rozwalonego komina zrobił mały model przepysznej, rzymskiej ruiny.

Rzeczywiście domek ślusarski wyglądał dzisiaj bardzo malowniczo. Nigdy go jeszcze tak pięknym, tak poetycznym nie widziała Salomea. Zatrzymała się na nim okiem chwil kilka a w pamięci jej, jakby za dotknięciem iskry elektrycznej powstały nagle obrazy przeszłości, które się do tego domku wiązały.

Stanęli przed nią ludzie pracowici — wysunął się naprzód ów chłopiec jasnowłosy z harmoniką w ręku, który jej tyle sprawiał przyjemności, jaki nagle nie znikł z jej oczu! A jaka to smutna musiała być katastrofa, która tego biednego chłopca w szeroki świat wypędziła!... Gdzież on teraz jest i gdzie się obraca?... Dla czego nie zjawił się dotąd ani razu? Dla czego nieprzyjechał na pogrzeb matki albo wtedy, gdy domek jego rodzinny przechodził w cudze ręce?... Może on sam jest w biedzie i nędzy, bo inaczej byłby się zjawił! Tak byłby się zjawił niezawodnie, bo przecież miał tak dobre konie, tak dobrze patrzyło mu z jego smutnych oczu!... Nawet pieśń jego ostatnia na harmonice, którą żegnał domek rodzinny wybierając się w świat szeroki, była tak rzewna, tak smutna, jaka tylko z tkliwego serca wypłynąć może. W tej

pieśni było tyle oczucia, tyle boleści duszy szlachetnej, tyle łez gorzkich... Salomea przypomniała nawet sobie te melodyją... I cóż się stało z tym chłopcem? Zapewnie wyrósł teraz na pięknego młodzieńca.... zapewne skończył szkoły, bo książki nadzwyczaj lubił, a może złamany zawczesną pracą siedzi zgięty nad kopytem, jak to babunia ongi przepowiadała. Biedny sierota! Dla czegóż miałby świat być dla niego macochą?....

Salomea poświęciła tutaj kilka uderzeń serca swemu ulubionemu lat dziecinnych, bo te lata dziecinne wyglądały dzisiaj tak uroczo przy tym domku ślusarskim tak artystycznie oświeconym!... d. c. n.

ZARYSY

Gubernij północno-i południowo zachodnich,

Skreślił

Jan ze Śliwina.

VI.

Gubernija Grodzieńska.

(Ciąg dalszy).

Wołkowysk nad Wołkowyją i Rossą, posiada na wzgórzu za miastem ślady zamku z bardzo odległych czasów. W r. 1241 Mogołowie kraj ten zniszczyli; ale książęta litewscy zajęli kraj i od nowych go napadów obronili. W r. 1252 w wojnie Daniela Halickiego z Mendogiem, Wasil ks. Wołyński zdobył Wołkowysk i tu sześć lat panował, kiedy w r. 1258 podług zawartego przymierza kraj ten ostatecznie przeszedł do Litwy. Tu Polacy w r. 1386 mający na czele Włodka spotkali Jagiełłę i zawarli z nim umowę co do zamężcia z Jadwigą. Obecnie liczy mieszkańców 5383.

Mścibów w powiecie Wołkowyskim, mała dziś mieścina, już w XII stuleciu posiadała gród słowiański. Tu niejednokrotnie odbywały się narady panów litewskich z polskimi; pamiętny szczególnie zjazd 1572 r. kiedy litwini żądali zwrotu Wołynia i Polesia; w r. zaś 1576 tu odbywały się wspólne narady, względem wyboru na króla Stefana Batorego, do czego jednak litwini wtedy jeszcze nieprzychylili się byli.

Kamieniec Litewski, jak świadczy Latopis Wołyński założony w w. XIII przez Włodzimierza ks. Wołyńskiego nad rzeką Lesną, (Lsną). Do dziś dnia ocalał wzniesiony przez tegoż księcia *Stołp*, t. j. wieża warowna, mająca 16 sążni obwodu i 17 sążni wysokości; wierzch jej ząbczaty, okna wązkie bardzo; ocalały i sklepy, a raczej lochy przestrone zadziwiające mocą i trwałością budowy. Kamieniec już na początku XIV w. należał do Litwy. Kejstut, Witold, Kazimierz Jagiellończyk często tu na łowy przyjeżdżali, gdyż lasy niezmierne Kamieniec otaczały. Dziś w Kamieńcu liczą 2742 mieszkańców i 407 domów.

Bielsk, w dawnej ziemi bielskiej, nad Bielanką. Tak samo jak i powyższe grody należy do dawnych osad słowiańskich. Tu było siedlisko Jaćwiaży czyli Jadźwingów, a są bardzo źródłowe przypuszczenia, że koło roku 1830 *Bielsk*, wraz z *Briańskiem Drohiczynem* i *Mielnikiem* założone zostały przez Jarosława Wsiewołodowicza który wytępiał Jadźwingów i Rusinów tu osadzał. Zburzony przez Mongołów, Bielsk od r. 1240 był już w posiadaniu Litwy. W XVI stuleciu Bielsk należał do Heleny, wdowy po królu i W. księciu Aleksandrze Jagiellończyku, córki Iwana Wasiljewicza W. ks. Moskiewskiego. Bielsk był miastem powiatowem obwodu Białostockiego, po skasowaniu którego, wcielony wraz z powiatem do gub. Grodzieńskiej. Istnieje dotąd *góra zamkowa*, odwieczne grodzisko. Był tu niegdyś zamek wspaniały, w którym jeszcze wielcy książęta litewscy i później królowie polscy niejednokrotnie stawali, gdy na łowy do puszczy Białowiejskiej na żubra udawali się. Obecnie mieszkańców w Bielsku liczą koło 4000. Domów jest 363.

Briańsk, o którym wspomnieliśmy wyżej, leży nad Nurcem. Gdy Podlasie oderwano od Litwy i do Korony przyłączono, Briańsk był miejscem sejmików. Dziś biedna mieścina, liczy koło 2000 mieszkańców, domów 184.

d. c. n.

Kronika Zagraniczna.

(ciąg dalszy)

Własnością wybitną czasów dzisiejszych, jest pretensyja nasza do oświaty. Najdonioślejszem dziedzictwem, które nam przekazał wiek ubiegły, to myśl, iż zadaniem tak państwa jak i każdego indywiduum, jest szerzenie wszelkiemi siłami oświaty. Wiemy już, że w wykształceniu spoczywa nietylko najszczytniejsza forma naszego udoskonalenia się duchowego, ale że w niem także i kapitał niewyczerpany, że każda siła na tej podstawie stać się może samodzielną. Dla tego to chcemy, ażeby wszyscy otrzymywali wykształacenie. Poczynamy od warstw najniższych i coraz wzmaga się przeciętna miara tego, czego z jednej strony żądamy od poziomu umysłowego a z drugiej mu dajemy. Jest to cechą charakterystyczną teraźniejszości. Zdarza się jednak w wielkich zadaniach, że się popada w jednostronność, i myśmy jej nie uniknęli. Upatrujemy wykształcenie w tem, ażeby każdy wiedział po odrobinie o wszystkiem i to w tej formie, w jakiej podaje umiejętność skończona. Dlatego to pomyśleliśmy o spopularyzowaniu umiejętności. Zredukowaliśmy zatem każdy z jej działów do ram najciaśniejszych, dla każdej warstwy społeczeństwa popisali krótkie obrazy z żądaniem, by czytający zapoznał się dokładnie z całością. Toż samo stało się i z ekonomiją narodową.

Wiemy jak ważnym czynnikiem jest kobieta w życiu społecznem. Powiedzieliśmy zatem, niech się zapozna z ekonomiją narodową i napisali osobną dla kobiet przeznaczoną książkę o gospodarstwie narodowem. Naukę tę zaprowadzono w wyższych zakładach żeńskich naukowych poczytawszy takową za podstawę wszelkich innych nauk. Mnie się zdaje, że do celu dobrego, obraliśmy wcale niedobrą, bo fałszywą drogę. Wartość każdej rzeczy, a więc i wartość umiejętności dla życia praktycznego rozpoczyna się wtedy, kiedy ją spożytkować mogę, otóż każdy przyzna, że najprzód idzie o pojęcie, o zrozumienie pożytku, bo gdzie tego braknie, tam braknie i interesu w kobiecie dla rzeczy i możność zastosowania takowej.

Na nic według mnie nie przydałoby się, choćby kobieta umiała na palcach policzyć wszystkie składowe części oderwanego systemu ekonomii; z wielką natomiast byłoby dla niej korzyścią, gdyby wiedziała, *jak wiele i co* zdziałać może na tem polu w swojej sferze. Dla kobiety o wiele ważniejszem zadaniem jest obeznanie się z duchem, jak z pojęciami ekonomii narodowej, łatwiej pojmie i zastosuje się do tej nauki wiedząc po co i jak ma czynić, niż czemu i o ile to warte o czem mówi nauka. Nasza więc nauka gospodarstwa powiedzieć ma kobiecie, w czem spoczywa wysoka jej gospodarska a jednocześnie i etyczna wartość; wówczas dopiero nabierze i nauka sama w oczach kobiety wartości.

Zaczynam od gospodarstwa domowego.

Dom, zdaje się, to pojęcie tak proste: dla jednego kogoś jest dom własnością, dla innego mieniem, dla trzeciego własną tylko chatą, dla kogoś znowu mieszkaniem tylko, w końcu znajdzie się i ktoś taki, dla którego dom jest lokacyją kapitału.

A jednak — od domu rozpoczyna się nowa postać dziejów światu. Od pojęcia znaczenia domu rozpoczęła się podstawa gospodarskiego wykształcenia kobiety, wykształcenie jej zmysłu praktycznego, jej pamięci o dobytku.

Dopiero przez dom pojmujemy kobietę, jak i ona sama dopiero w domu poznaje zadanie życia swego.

Lud koczujący, jest ludem bez obyczajów. Mówią przecież dzieje o narodach koczujących które wdarły się jak rozhukany żywioł w dzieje ludzkości, wygrywały olbrzymie wojny, obalały i niszczyły państwa, ale nic trwałego zbudować nie mogły, dopóty, dopóki nie wyszły z lasów i obozów i nie założyły stałych ognisk domowych lub nie zlały się w całość z podbitemi państwami. Którykolwiek lud, jak np. ludy wędrowne Azyi albo Indyjanie amerykańscy nie miał dość siły, by zabezpieczyć rodzinie dom, ognisko stałe, taki lud nie ma i mieć nie może historyi. Dopiero z nastaniem domu rozpoczyna się uobyczajenie powszechne, a z życiem u ognisk domowych uobyczajenie i umoralnienie jednostki. A jeszcze i teraz, jakkolwiek nikt z nas nie mieszka w namiocie, mawiamy, że człowiek który nie znajduje przyjemności w życiu rodzinnem, towarzyskiem, wiedzie żywot tułaczy, jest żydem wiecznym. Osobniki koczujący dzisiejszych czasów wyrzekając się ogniska rodzinnego tracą więcej niż im się zdaje: jedni dla tego że znaleźć nie umieją, inni zaś dla tego że nie znajdują, czego szukają. Rozmyślanie nad tem nasuwa myśl nie jednę: ileż tajemnic smutnych, ile łez lub radości, słabości lub siły zamyka się w tym wyrazie: bez dachu, bez rodziny.

Czemuż to? Dla tego, ponieważ ten dom jest nie tylko kapitałem, ale jest *siłą*, Spytajcie serc własnych, ażali nie tak jest? Siła ta jednak, to nie trwałość budowy, jej wielkość, piękność lub przepych — nie — siłą domu jest indywidualność kobiety, dobrej żony, rozumnej matki. Jeżeli jest jakaś umiejętność

kobiety wyłączna, to jest umieć być panią domu. Żona jest reprezentantką szczęścia i spokoju domowego i wszystkiego tego, czem my, posiadając to wszystko, być możemy. Tem ona jest w domu i przez dom. Wyłożę to dokładniej w słowach niewielu.

Spojrzyjcie na życie czynnej, pracującej ludzkości, a przekonacie się, że wyższa jakaś, twórcza siła, położyła w tem życiu pomiędzy dwoma jego czynnikami tak głęboki przedział, jakiego nie masz nawet w otchłani wód, dzielących kule ziemską. Przedział ten, to próg domu. A rzeczą tu zupełnie obojętną, czy mężczyzna albo pan domu znajduje się o kilkanaście mil od niego, czy dzielą go tylko drzwi zamknięte pracowni czy gabinetu, po za któremi przebywa jego rodzina. W każdym razie dwa to odmienne oblicza jednego świata, dwie strony jednego obrazu, stykające się wiecznie a nigdy jednak nie zlewające w całość jednolitą. Czy zaś wiemy o tem albo nie wiemy, to nie zmienia istoty rzeczy, przepaść ta istnieje. W chwili, w której przekraczam próg mego mieszkania, opuszczam rodzinę i należę do świata w którym pracuję—w chwili zaś z którą wracam w grono rodziny, opuszczam świat pracy i wcielam się napowrót w koło rodzinne i pomimowolnie uczuwam w duszy przeistoczenie, podlegam innym wrażeniom. Doświadczył tego niezawodnie każdy. A na dowód niech sobie przypomni, że najodleglejsza droga do przyjaciela w interesie zawodu, jest stokroć bliższą od drogi z jego pracowni do mieszkania, które zajmuje z rodziną.

Kiedy zaś wracam do własnego domu, to znowu rzecz inna: świat pracy pozostaje za mną, a pewny jestem, że powita mię żona, rodzina. To jednak nie należy do przedmiotu, a za tem wracam do zadania gospodarstwa w domu.

Zanim pójdziemy dalej za autorem, zwracamy uwagę, że widzi on wszystko dla kobiety ale i dla mężczyzny drugą część zadania, którą ma pełnić w domu.

O ładzie i porządku w domu, który jest duszą wszelkiego gospodarstwa, powiada prelegent:

Niepodobna utrzymać miłego ładu w domu bez kobiety; to co kobieta zdziałać tutaj może, tego nie wstanie dać ani bogactwo, ani smak najwytworniejszy. Tak wielką zaś jest tutaj jej władza, że brak jej odkryje nawet wzrok niedoświadczony, choćby w pierwszej chwili zamaskowano nieobecność jej wyszukaną elegancyją. Będzie to ładne, ale nie ujmujące, nie — miłe. Porządek, to spokój i harmonija pomiędzy przedmiotów tysiącem, które dom zapełniają. Niema nawet potrzeby mówić o gospodarskiej wartości ładu, gdyż porządek jakkolwiek nie daje dóbr, służy do ich utrzymania, jest wstanie dobra moje pomnożyć we dwojnasób, podnosząc wartość każdego szczegółu z osobna. Jakkolwiek więc nic sam przez się nie wytwarza, utrzymuje za to wszystko. Z porządku w czasie, wypływa ład w woli, z ładu w przedmiotach, porządek w pracy, a w pośród tysiąca tych drobnostek otaczających nas w domu, rozpoczyna się wychowanie dziecka niekiedy zaś i — samego pana domu, mężczyzny. d. c. n.

GAWĘDY
o środkach domowych lekarskich i gospodarskich.

III

Jak to czas szybko uchodzi! Dopiero był początek wielkiego postu, już się zbliżył i koniec. Wielkanoc już za pasem. Żądasz więc przepisów niektórych; ale przedewszystkiem prosisz o uwagi dotyczące maleńkiej dzieciny twego syna chrzestnego. Bo jak powiadasz: dostąpiłaś wysokiej godności, zostałaś kumą najbogatszego we wsi gospodarza. Twój Janek, tęgi, krzykliwy chłopczyna, nabawił cię kłopotu. Drugiego dnia po urodzeniu zaczął krzyczeć tak strasznie i bezustannie, że cała wieś zbiegła się na ratunek,— odczyniano uroki, mierzono, przelewano, odżegnywano i Bóg wie jakie gusła przywoływano do pomocy — a dziecko jak krzyczało, tak krzyczało. Aż wreszcie dano znać do dworu—i ty naturalnie pospieszyłaś niezwłocznie tam, gdzie już nie raz niosłaś pomoc skuteczną; bo jest tam dzieci kilkoro, które właśnie niedawno ciężki koklusz przechodziły. Synowie tylko jakoś się tam nie chowali. Dwóch umarło na ząbki—a ten, dziś trzeci i jedyny, do rozpaczy swym krzykiem doprowadził biednych rodziców. Z bijącem sercem powiadasz, spieszyłaś na pomoc, lękając się, czy nie będzie znowu daremną. Lecz przedewszystkiem rozpowinęłaś dziecię, które dawnym zwyczajem, całe powijakiem okręcone było—i zaledwie dostałaś się do biednego ciałka spostrzegłaś grubą igłę, która tkwiła w boku brzuszka, zaledwie uszkiem tylko na powierzchni jeszcze skóry widoczna—nie ociągając się więc ani chwili, wyciągnęłaś nieszczęsną przyczynę tylu cierpień, położyłaś gałganek w oliwie umoczony na miejscu tem bolesnem, i na szczęście nie niebezpiecznem, okryłaś lekko miękką watą brzuszek cały, otuliłaś delikatnie w poduszce bez powijaków biedną dziecinę i podałaś spłakanej matce, której pierw pokarm zestrzykać kazałaś. Dziecina wkrótce smacznie zasnęła—a uszczęśliwieni rodzice, widząc w tobie zbawczynię ich syna, zaprosili cię w kumy. Podziwiam twoję przytomność i cieszę się nią serdecznie. Bo jakże często, kiedy dziecko krzyczy najbardziej, to je tulą kołyszą, bujają, poją, karmią—a zaniedbują rzeczy najważniejszej, to jest: zbadania, czy my sami, tak jak tu było, naszą nieostrożnością, nie wywołaliśmy złego. Najpierw więc zawsze zbadać trzeba uważnie całe ciałko, krzyczącej dzieciny, przepatrzyć pieluszki, powijaki, poduszki i t. p. Następnie uważać czy brzuszek twardy, pałający, czy dziecina kórczy nóżki płacząc, czy się zanosi od krzyku; wtedy zpewnością cierpi na brzuszek. Najlepiej więc wysmarować go ciepłą oliwą, obłożyć watą a dziecinie dać nakoniec noża lub nieco więcej, troistego proszku w rumianku lub w pokarmie; albo trochę magnezyi z rumiankiem, a wreszcie rabarbarowego ulepku cokolwieczek t. j. łyżeczkę mniej lub więcej trochę, stosownie do wieku dziecka. Często po owinięciu brzuszka, dość dać rumianku lub koperku ciepłego. Gdy dziecię jest niespokojne, trzeba i na główkę zwrócić uwagę zwłaszcza, gdy dziecię jest tęgie jeżli bowiem ciemie jest miękkie i ruchliwe, jak zwykle u dzieci, wtedy cierpienie jego z żołądeczka tylko pochodzi, gdy zaś ciemie zrobi się wypukłe i naprężone, twardawe, w tedy z pewnością główka cierpi i w takim razie trzeba już innych używać środków — a zwłaszcza nigdy samemu na wymioty nie dawać. Główkę obmywać gąbką w ciepłej nieco wodzie zmaczaną, położyć na pięć minut synopizma na nóżki dać na zwolnienie żołądka a zwłaszcza, pozostawić dziecinę w spokoju. Nie bujać, nie kołysać Boże broń gwałtownie, jak to czynią częstokroć, ani też biegać z dzieckiem po pokoju. Bo pomyślmy, co się z nami dzieje, skoro na głowę cierpimy. Jak nam wtedy spokój pożądany. I wtedy szkodzą wszelkie gwałtowne ruchy, gdy dziecię na brzuszek cierpi; bo im prędzej kołyszemy, im mocniej bujamy lub szybciej biegamy z nim po pokoju, tem ono bardziej krzyczy. A powietrze wpadając gwałtownie w usteczka krzyczącej dzieciny, silniejsze daleko sprawia bóle i większe wzdęcie. Lecz dosyć na dzisiaj tych leków po świętach przyszlę ci więcej uwag moich, które słabą tylko pomocą być mogą, wobec tylu poradników lekarskich. Zwłaszcza przy poradniku D-ra Matckiego, który ze wszech miar ci zalecam. Są tam rady nie ocenione dla młodych małżonków, dotyczące zdrowia matki i jej dziecięcia, od piewszych chwil życia aż do późniejszego dzieciństwa. A teraz przejdźmy do przygotowań świątecznych. Zapóźno już na marynowanie szynek i innego mięsiwa, podam ci więc przepisy niektóre tylko mazurków i w ogóle zwyczajnego ciasta; bo wszak aż nadto jest, kiedy czynimy zadosyć zwyczajom, które podług mnie szanować wypada. Widzę ja w nich zabytek dawnych naszych czasów i zadosyć uczynienie narodowej cnocie gościnności. Ale potępiam wszelką przesadę, każdy wybryk zbytku; brak ogledności na fundusze, przezorności na przyszłość. Dlatego to przeszlę ci tylko sposoby łatwe a niekosztowne, a zaczynając od bab, placków i bułeczek dojdziemy do razowego tortu — sernika i niektórych mazurków—a naprzód:

Baby gospodarskie. Na garniec pięknej wygrzanej mąki, bierze się kwaterka pięknych piwnych drożdży —albo i sztucznych, które zwykle na łuty rachują. Ja zaś biorę suche, rozprowadzam ciepłem mlekiem do gęstości dobrych piwnych i z tych kwaterkę, liczę na garniec mąki. Wlewam tę kwaterkę w kwartę ciepłego mleka i rozczyniam na niecce. Rozmieszawszy z częścią mąki, posyp z wierzchu suchą, przykryj serwetą na wierzch wygrzaną poduszką — i postaw w cieple, niech rośnie. Gdy dobrze rozczyn wyrośnie, wtedy przemięszaj, osól, wlej jajka, to jest 40 żółtek do białości ubitych. Niektórzy biją z cukrem jaja którego funt biorą, inni ubijają żółtka same a cukier wsypują potrosze przy wybijaniu ciasta. Jak więc wlejesz żółtka, przemieszasz i przerobisz ciasto, wtedy syp cukier rodzenki zapachu cytrynowego lub wanilii, a kto lubi, kwiatu muszkatołowego. Jeżli ciasta jest niewiele, to jedna kobieta wybić dobrze potrafi; lecz gdy jest kilka garncy, wtedy dwie stają przy obu końcach niecki i albo razem albo na przemiany wybijają, byle ciągle żeby ciasto nie stygło. Trzecia osoba stoi pośrodku i ciągle po-

sypuje ciasto mąką, aż póki wszystko się nie wmiesza. Następnie włóż pjanę mocno ubitą z 15 jaj i znów mieszaj — a nakoniec wlewa się przetopione i sklarowane masło, ale tak ciepłe, żeby zbierało przed wlaniem do ciasta. Z tem dobrze ciepłem masłem przemieszaj ciasto bardzo starannie, a skoro się przekonasz że od rąk odstaje, to znak, że dobrze już wybite. Można je okryć czystym obrusem — na wierzch poduszką, lub ciepłą flanelą i postawić w ciepłem spokojnem miejscu — niech rośnie. Ciasto wyrośnięte dobrze, nakłada się w doniczki wygrzane, masłem lub szmalcem wysmarowane. Można doniczki wysypywać migdałami w paski krajanemi lub drobnemi rozenkami, jeźli zwłaszcza parę gatunków ciasta się robi, to łatwo je tym sposobem rozróżnić. Ciasto przed wybiciem jest rzadsze, lecz im lepiej wybite a mąka suchsza, tem robi się gęściejsze. Wybijać godzinę jest w sam raz. W doniczki kłaść tylko $1/4$ ciasta, gdy do połowy dorośnie każ palić w piecu. Drzewo powinno być suche, gdy się na węgle spali— rozgarnij je po całym piecu i zamknij na chwilkę; następnie każ przynieść drobno łupanego drzewa i na krzyż po całym piecu na żarzące węgle rozrzucić. Skoro się spali i węgle bielić zaczną, wtedy trzeba je wygarnąć. Piec wypróbować mąką. Jeźli rzucona mąka się pali, piec jest za gorący, trzeba go mokrym gałganem czy słomianą wiechą wystudzić. Gdy mąka tyko się rumieni, można ciasto wstawiać. U góry wypróbuj papierem, jeźli się papier pali, ochłodzić go trzeba, jeźli się papier tylko wolno rumieni, piec jest dobry. Doniczki, które zbyt wyrosły, nadsztukuj grubym papierem. Wstawiając je, luft w piecu zasuń, żeby nie opadły baby od cugu, skoro już wstawisz odsuń trochę blachę jak drzwiczki założysz. Jeźli się zbyt ciasto rumieni, wyjmij cegiełkę górną, jeźli i tak za ciepło, pokrywaj baby z wierzchu arkuszami papieru. Uważaj żeby między doniczkami były pewne odstępy; żeby ciepło dokoła równo ogarniać je mogło. W piecu zwykle godzinę ciasto trzymaj, jeźli wszakże jest delikatne a piec dobrze wypalony, dość jest 3 kwadranse. W połowie czasu przestawia się ostrożnie, żeby nie opadło. Wyjmując probować słomką lub cienkiem drewienkiem, jeźli ciasto klejkowate obelgnie, to znak,, że jeszcze nie upieczone. Jeźli słomka sucha — można wyjmować. Każdą babę wysuń z doniczki na rękę, albo na poduszkę poruszywszy wsuń jeszcze trochę w doniczkę czy rądel, lecz gdy troszkę donice ochłodną, wyjmuj baby na co miękkiego bo jakby stygły w donicach, to z wilgotnieją skórki. Zimnę baby poustawiaj na pułkach spiżarni i poprzykrywaj doniczkami, tak mniej wysychają.

Baby kosztowniejsze. Rozczynia się tak samo, jak poprzednie z takąż ilością drożdży— tylko jaj biorę kopę lub kwartę samych żółtek bez piany—masła klarowanego pół kwarty, cukru półtora funta — a nawet więcej do garnca jednego mąki—rodzynki lub nie—waniliją albo inny zapach—przekładają też ciasto, kładąc w doniczki masę migdałową z cukrem. Jeźli ciasto zbyt gęste, to można mleka więcej wziąść niż kwartę. Mąka tylko piękna wygrzana, sucha, ciasto dobrze wybite, niezaziębione i w miarę wypieczone, to najważniejsza.

Baby parzone. Tę samę ilość brać można wszystkiego, tylko trochę mąki sparzyć trzeba mlekiem gorącem. Niektórzy parzą na niecce, ja biorę dajmy na to pół kwarty mleka wrzącego, kładę weń łyżkę masła. Na miskę sypie kwartę lub więcej mąki, stawiam na ciepłym trzonie, wlewam wrzące mleko w tę miskę z mąką i ciągle na ciepłej blaszę trzymając mieszam doskonale—gdy już całkiem odstaje od miski i od łyżki—kładę to na resztę mąki w niecce — a skoro nieco ochłodnie, rozczyniam to ciasto drożdżami z mlekiem ciepłem, gdy zaś wyrośnie, postępuje, jak wyżej. Parzone baby są pulchniejsze, wilgotniejsze i słodsze.

Od każdego gatunku z tych bab, bierze się ciasto na placki lub mazurki dosypawszy trochę mąki a nawet można i bez dosypywania piec na blachach grubsze lub cieńsze placki. Posypywać migdałami siekanemi lub krajanemi w paski, rodzenkami dużemi lub małemi, wpierw wszakże smarują się placki jajkiem rozbitem, całem lub tylko białkiem, albo jajkiem z wodą nieco—i dopiero posypuje się jak wyżej cukrem miałkiem na sam wierzch przed wstawieniem do pieca albo i po wyjęciu z pieca to do woli. Niektórzy ubierają cykatą, skórką pomarańczową smażoną krajaną — lub tylko cukrem z cynamonem — albo wreszcie zacierczkami posypują, które zagniatają się z mąki z masłem i cukrem bez jajka.—Inni jeszcze lukrują placki. Lukier robi się z białka z cukrem i cytryną.— Na jedno białko bierz pół funta przesianego cukru, wierć srebrną łyżką na talerzu, ciągle w jednę stronę — w końcu wsyp łyżeczkę mąki kartoflanej lub pięknego krochmalu, wciśnij całą cytrynę i wierć jeszcze póki nie będzie białe zupełnie, jeśli wsypiesz mąki kartoflanej lub krochmalu do tej ilości cukru, to śmiało dolać możesz trochę więcej białka. Lukruj ciasto przy ogniu wolnem lub postaw je w piec letni. Posypuj lukier macżkiem lub strój cukierkami— ale to już po upieczeniu ciasta się lukruje.

Sernik. Weź świeży ser lub twarożek dobrze wyciśnięty, rozwierć go w donicy, wbij żółtek, włóż masła, wsyp cukru, rodzenków i migdałów stosownie do ilości sera; wlej wreszcie łyżkę lub łyżeczkę drożdży, w końcu zaś można włożyć piankę z paru jaj dobrze ubitą—to rozwiercić lekko już tylko łyżką, skoro wsypiesz rodzenki, części sera dopraw szafranem i kładź na brytfannę jednę warstwę babowego, dobrze rozciągnmiętego w maśle maczanemi rękami ciasta, drugą sera z szafranem— potem ciasta już tylko, albo raz jeszcze sera bez szafranu i znów ciasta, albo jeszcze sera na wierzch, a z ciasta porób długie wałeczki, ułóż je w kratę na wierzchu sernika, w każdą kratkę włóż konfitur lub cykaty albo skórki pomarańczowej, lecz przed tym strojem, jajkiem pamiętaj wierzch posmarować—wreszcie posyp cukrem i piecz z babami, bo mocniejszego niż placki same, sernik ognia potrzebuje. Drożdże w ser wlane chronią od zakalcu.

Tak samo przekłada się ciasto makiem, masą migdałową lub konfiturami, tylko już bez drożdży.

Z pozostających białek — robią baby białe, z samemi na mocną pianę ubitemi białkami, tylko masła więcej do nich się bierze bo prędzej wysychają. Niektórzy zaprawiają także baby szafranem, który się moczy w araku. Wtedy są one żółte i pachną przyjemnie. Szafranu bierze się do woli—jakie mają być, czy więcej czy też mniej żółte. Robią się też z tych białek bułeczki, z mlekiem nawet mogą być bez masła tylko cukru trochę wsypać, a kto chce to i rodzenków drobnych, lecz niech nie będą zbyt tęgo zagniecione, lepiej wolne, byle dobrze wyrobione były i wyrosły. Przesadzając je w piecu po połowie godziny, posmaruj samym białkiem a będą się ładnie świecić. Robiąc z tego ciasta obważaneczki lub inne figielki, dodaj masła, przerób, a przed pieczeniem posmaruj jajkiem i posyp grubo tłuczonym cukrem.— I mazurki, cieniuchno posypane czem chcesz—bardzo są dobre.

Mazurki piaskowe.—Bierze się funt młodego masła bez soli, funt mąki pięknej, ośm jaj całych. Masło włóż w donicę i każ wiercić aż na śmietanę. Mąkę zaś, cukier i jaja przygotuj sobie każde osobno—i wsypuj do rozwierconego masła po łyżce tak: łyżkę mąki, łyżkę cukru i łyżkę jaj rozbitych i każ wiercić ciągle w jednę stronę. Po rozwierceniu jednej partyi łyżek—włóż drugą i znów każ wiercić tak aż dopóki wszystkiego nie rozmieszasz; co potrwa blisko półtory godziny. W końcu wsyp skórki cytrynowej utartej na tarce albo nieco olejku cytrynowego—albo, co najmilej pachnie, włóż wanilii. Niektórzy biorą cynamon, ale ten zmienia kolor mazurków, które rozsmarować trzeba na wysmarowanym masłem papierze, ale papier na blasze do pieca się kładzie. Mazurki mogą być dość grube albo bardzo cienkie, to dowoli—byle były nożem urównane i posmarowane masłem. Grubsze po upieczeniu w ciepłym równo wypalonym piecu, najlepiej ulukrować i maczkiem tylko przystroić— cieńsze posyp migdałami siekanemi lub w paski krajanemi albo też rodzenkami drobnemi, albo tylko grubawym cukrem. Masę tę trzeba i osolić.

Mazurki migdałowe. Bierze się funt masła, funt cukru i funt migdałów. Migdały trzeba oparzyć, obrać ze skórki, usiekać i uwiercić w donicy na masę, sypiąc po trosze miałko utarty cukier. Nakoniec włożyć masło, jeszcze powiercić; poczem rozsmarować cienko po blachach z papierem na spodzie i włożyć w piec dość ciepły po babach, choćby na całą noc. Możnaby kłaść na opłatki a te na blasze poukładać mąką podsypawszy blachę. Są to mazurki bardzo smaczne, ale trochę kosztowne.

Tort razowy. Bierze się chléb razowy, kraje się na grzanki i suszy dobrze w piecu przez dzień albo i dwa dni, byle nie spalić. Te grzanki tłuką się w moździeżu przesiewają przez sitko i znów tłuką i znów się sieją, aż póki tak miałkie nie będą, żeby się dały przesiać przez gruby muślin. Takiej mąki razowej bierze się kubek duży lub mały, ile kto chce; ale taki sam kubek trzeba wziąść migdałów, cukru i żółtek. Białka biją się na twardą pianę. Najpierw wierci się migdały, gdy już są uwiercone dosypuje się po troszę cukru i po parę łyżek żółtek. Skoro i to się dobrze rozwierci, wtedy sypie się po łyżce mąki razowej aż póki się całej filiżanki dobrze nie rozmiesza. Wtedy z białek od wszystkich jaj biję

się mocna piana, lekko rozmieszywa się ją z ubierconą masą, byle nie rozbić bardzo piany gdyż ona tu lekkości dodaje zamiast drożdży, bo tort rośnie w piecu. Dla zapachu sypie się skórka cytrynowa lub pomarańczowa, trochę wanilii a kto lubi goździków — ale te tęgości dodają, którą nie każdy lubi. Następnie włożyć to wszystko trzeba w płaski rądel masłem dobrze wysmarowany, albo w formę — i piec przez godzinę a jeźli forma cienka krócej nieco w dobrze ciepłym piecu, byle tylko nie spalić. Taki tort można ulukrować, ustroić konfiturami, lub tylko cukrem miałkim posypać. Jest smaczny, dziurkowaty, wilgotny i wcale się nie starzeje. Niektórzy robią go z chleba pytlowego — inni dosypują czekolady. Ja tylko dosypawszy czekolady robiłam cienkie mazurki, które ulukrowane, bardzo ładnie wyglądają i są smaczne.

Jeźli dużo pieczesz ciasta i zbędą ci białka, to je użyj do zatarcia drobnej kaszki. Każ zagnieść i zrobić makaronu, który wysuszony długo w słoju przechować można i dobry jest w gotowaniu. Możesz zagniecione ciasto posiekać lub utrzyć na tarce, wysuszyć na sitach lub papierach i pochować w słoje, do zasypywania rosołu, mleka lub do wody z masłem. Można zagnieść białkami mąkę kartoflaną na zaciereczki.

Tort kartoflany zupełnie tak samo jak razowy robić można, tylko zamiast mąki razowej bierze się kartoflana — i piec musi być wolniejszy.

Tym samym sposobem robi się legumina razowa, piecze się ją w piecu lub gotuje na parze. Daje się na stół gorąca polana czekoladą lub szodonowym sosem — albo wreszcie przestudzona układa się na półmisku bitą na krem śmietaną z wanilią i konfiturami. Z czekolady zwłaszcza zamiast mąki razowej dobrze z kremem smakuje. Ale — zapomniałam jeszcze powiedzieć, że do bułeczek bierze się nieco mniej drożdży niż do bab i piec mocniej się wypala — jeźli bułki na blachach się pieką.

A teraz dość już tego życzę ci świąt wesołych i czekam niecierpliwie relacyi z twoich lekarskich po wsi wycieczek.

J. O.

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

Dla czego by nie poskoczyć galopem ku mesa? Nie otoczą nas zaraz a oparłszy się o bok góry plecami, utworzywszy z koni barykadę nie potrzeba by było tak się obawiać tej bandy. Nic łatwiejszego jak się tam dostać puściwszy się z pochyloną głową...

— Bodaj mi łeb zaraz żywcem ze skóry obdarto, jeżeli ten dzieciak nie ma racyi zawołał Rube, nie dając mi dokończyć...

— Oto mi doskonała co się nazywa myśl.

— Prawda że dobra potwierdził Garej, nie traćmy więc ani minuty bo znowu rozpoczną szelmy swoje przeklęte koło...

Cała rozmowa zajęła nam zaledwie parę sekund a powstała zaraz po tem jak pięciu strzelców wypuściło powtórne strzały i pobiegło broń przemienić.

Zanim zdążyli powrócić dla wystrzelenia po raz trzeci, gdy zdecydowaliśmy się i byli gotowi do jazdy.

Nieprzyjaciel nic a nic nie mógł spostrzedz ani niczego się domyśleć, tak zachowaliśmy się spokojnie, to też droga od strony skały była otwartą zupełnie. Jednakże czasu nie ma, bo minuta jeszcze, a znowu będziemy otoczeni przez pięciu jeźdźców.

— Hurra Rube krzyknął Garej, hurra mój dzielny na przód!

— Zimnej krwi Billu odpowiedział Rube, zajęty nakładaniem uzdy koniowi Gareja.

— Mamy dosyć czasu, zaręczam ci że nie są jeszcze gotowi. — No naprzód! dodał zwracając się do klaczy — naprzód bo zostawię cię tutaj, ale wiem z pewnością że powrócisz do gniazda. W każdym razie toż cię nie zjedzą więc nieobawiaj się o siebie moja poczciwa stara. Teraz Billu jestem już gotów.

— Czas był też ogromny bo kawalerzyści już już tylko co ruszyć mieli na nowo. Nie zatrzymując się i nie zwracając na nich uwagi, wskoczyliśmy wszystka trzech od razu na konie i puściliśmy się prosto w stronę skały.

Jedno rzucenie okiem po za siebie dostatecznem było do zobaczenia całej kalwakaty pospieszającej za nami; wściekłe krzyki dochodziły do naszych uszu.

Na wielką naszę radość zobaczyliśmy żeśmy zyskali dużo na czasie. Nagła ucieczka nasza rzuciła niespodziewanie jakiś chwilowy popłoch w szeregi nieprzyjacielskie. Byliśmy prawie pewni że dostaniemy się na czas do skały.

Dla mnie umknąć byłoby bardzo łatwo, Garej równie zrobił by to na białym koniu, przy pomocy uzdzienicy z surowca dającym się powodować doskonale, ale opóźnia się nam koń Gareja, zwierze silne ale powolne na którem Rube stary jechał. Szczęściem że droga nie była zbyt daleką, inaczej łatwo by go złapać przyszło. Trzymałem się z Garejem obok niego.

— Nie bój się Rube wrzasnął Garej, nie opuścimy cię ani na chwilę.

— Nigdy, dodałem pod wrażeniem chwili będziemy żyli razem albo pomrzemy razem...

— Brawo młodzieńcze odpowiedział Rube zachwycony, brawo. Wiem żeś jest do tego zdolnym i że mnie nie pozostawisz chociaż ci nie dotrzymałem towarzystwa wówczas, gdyś mnie wziął był za niedźwiedzia. Ale w tedy wiesz że by ci się to nie na wiele przydało gdybym był przy tobie został. Otóż łotry zbliżają się.

Zdążaliśmy prosto w sam środek pagórka którego pochyłe ściany wznosiły się na powierzchni stepu, jak jaki ogromny wał, zdążaliśmy prosto do środka jak gdyby tam jakie drzwi miały się przed nami otworzyć i dać nam gościnne schronienie.

Słyszeliśmy za sobą okrzyki zdziwienia zmieszane z odgłosem kopyt końskich, mogliśmy nawet pochwycić niektóre wyrazy jak:

— Gdzie oni lecą?

— Czyż mają zamiar wdrapać się na koniach na skałę?

— Brawo włażą sami w wilczą jamę.

Potem następowały głośne okrzyki radości z okazyi że dobrowolnie zajmujemy pozycyją z której wyjście było niepodobieństwem.

— W pierwszej chwili obawiali się iżby przy pomocy dobrych koni nie udało nam się uciec, ale poznawszy, że nie takim był nasz zamiar, poczęli wrzeszczeć z zadowolenia a kiedyśmy docierali do miejsca zobaczyliśmy jak się rozstawiają po za nami aby nas otoczyć.

To był manewr jakiśmy przewidzieli i jakiegośmy gorąco pragnęli.

Przylecieliśmy do skały nie ściągając cugli, zeskoczyliśmy szybko na ziemię, przeciągnęli konie przed siebie, a trzymając uzdy w rękach wymierzyliśmy trzy karabiny na nieprzyjaciela grożąc śmiercią niechybną pierwszemu k tóry by się przybliżył.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Koń starego Ruba.

Ta postawa obronna tak szybko wykonana zrobiła dobry skutek.

Scigający zatrzymali się na stepie, a kilku którzy się wysunęli naprzód cofnęli się strwożeni.

— Ot zawołał stary Rube, przypatrzcie się tylko tym łajdakom. Jak oni skrzętnie o tem myślą iżby mieć zawsze przyzwoitą przestrzeń pomiędzy naszemi fuzyjami a swojemi kośćmi.

Zrozumieliśmy teraz dokładnie korzyści naszego obecnego położenia mogliśmy śmiało stawić czoło nieprzyjacielowi, nie obawiając się już o otoczenie nas zupełne. Pół kole które można było uszykować po za nami osłaniała skała a tej przeskoczyć nie łatwo było można. Mieliśmy tedy do obserwacyi niewielki tylko łuk przed sobą, bo właśnie miejsce naszego schronienia było rodzajem zagłębienia pomiędzy dwoma skośnemi bokami skały, długie na jakie trzysta przynajmniej kroków. Nie podobna by było przy najlepszych choćby warunkach wyszukać lepszego pomieszczenia na stanowisko obronne. Geryllasy mogli sobie galopować teraz na całej przestrzeni, do koła, my będziemy zawsze gotowi pokazać im zęby.

Wraże okrzyki tryumfów zamieniły się na okrzyki zdziwienia i zawodu, ale wnet znowu zmieniły ton na wybuchy radości które na całej linii zabrzmiały.

Śledziliśmy przyczynę tego ożywienia i spostrzegliśmy ją niebawem w pomocy jaka im przybyła w pięciu nowych jeźdzcach, widocznie należących do tej samej kliki i przybywających z po za skały od strony wioski.

Mimo przecież zwiększonych sił nie probowano nas atakować, chociaż w chwili gdy sprzymierzeńcy ukazali się na stepie, oddział uszykował się we dwa szeregi w poprzek otworu czy zagłębienia w którem znaleźliśmy przytułek. Ten manewr wykonano bardzo prędko i sześć par owych wielkich wojowników stanęło przed nami w równej pomiędzy sobą odległości. Iżurra i dwóch jakichś innych zachowali swoje pozycyje na przeciwko nas.

Pomiędzy nowo przybyłemi poznałem odrazu łotra którego często widywałem w wiosce. Był to chłop wysoki o co dość trudno w Mesyku, włosy miał czerwone i jak sądzę był biskajczykiem pomiędzy któremi rudy kolor nie był wcale rzadkością. Nazywano go powszechnie lisem, a jak dobrze wiedziałem był to opryszek rozbijający po gościńcach.

„Lis“ (El-Zorro) nie robił bynajmniej tajemnicy ze swojego rzemiosła, bo rabusie Meksykańscy nie potrzebują robić z tego sekretu.

Gdy czas im pozwala pokazują się w miejscach zaludnionych, włóczą się swobodnie po ulicach i mieszają do towarzystwa...

Takim był „lis“ prawa ręka Iżurry.

Zamiar nieprzyjaciela był dla nas bardzo jasnym, nie mieli zamiaru zaczepiać nas odrazu i zbliska, ale widząc że cofnąć się nigdzie nie mamy, postanowili trzymać nas w oblężeniu dopóki pragnienie i głód nie zmuszą nas do poddania.

Był to rachunek oparty na prawdopodobieństwach i istotnie jeżeli otaczającym nas łotrom zbywało na waleczności nie zbywało im na podstępie i chytrości.

Od chwili gdy Rube zobaczył ich zajmujących wskazane powyżej stanowiska stracił na humorze i żałował widocznie żeśmy się tu zamknęli.

— No to i jesteśmy tutaj — odezwał się z niechęcią, ale jak stąd wyjdziemy?... Niech mi łeb ze skóry obedrą Billu czy nie lepiej było rozprawić się z niemi na stepie póki głód sił nie strawi. Zjadłybym ze smakiem kawałek mięsa w tej chwili.

— No patrzcie tylko — toć któryś z tych szelmów zapalił cygaro. Precz z tym dymem hultaju, precz z twoją piernikową skórą. Ja do jutra wypalę którego z was albo się Rube Rowlings nie nazywam.

— Daj mi niuch tabaki Billu może to zmusi do cierpliwości mój żołądek. Głodnym jak stary osioł... O ale cóż to, a... to moja stara tutaj.

Te słowa wypowiedział tak energicznie żeśmy z Billem zwrócili oczy w stronę którą nam wskazywał, i pomimo żeśmy strasznie byli zgnębieni parsknęliśmy głośnym śmiechem.

Stara szkapa, od dawnych lat towarzyszka Ruba to stworzenie co z miny i z czupryny nie wiele różniło się od swojego pana ciągnęła do nas.

Zbiedzone to stworzenie z bokami kościstemi z długiemi uszami, było na pozór podobne do muła ale w istocie była to prawdziwa mustang, i pomimo niekorzystnego pozoru andaluzyjka czystej krwi. Kiedyś lubo bardzo dawno zdawała się być koloru brudno żółtego powszechnego pomiędzy końmi Meksykańskiemi, ale dziś siwizna dominowała szczególniej na łbie i szyi. Oddech miała niezmiernie krótki, grzbiet się unosił od konwulsyjnego poruszania się płuc, wydymała się silnie jak gdyby chciała kichać a nie mogła. Sucha jak tyka, miała zwyczaj nosić łeb na dół spuszczony jednakże było w jej oku mówię oku bo już tylko jedno miała, coś co mówiło, że nie miała ochoty rozstawać się z życiem, a jak jej pan utrzymywał, nie miała chęci oddawać się na łup psom lub wilkom.

Taką była szkapa Ruba, i na to właśnie poczciwe stworzenie zwrócono naszę uwagę.

Rozstawszy się z nią na środku stepu nie myśleliśmy już o niej podczas gwałtownej ucieczki, i nie troszczyliśmy się przynajmniej Garej i ja co tam się z nią stanie.

Rube wszakże nie podzielał naszej w tej mierze obojętności i kiedy pozostawiał swoję starą jak ją nazywał na los szczęścia, wolałbym raczej zostawić tu jednę swoję nogę mówił aniżeli się rozłączać z wierną towarzyszką, tylko dodawał ufam iż się jej nic złego nie stanie.

Co do mnie sądziłem że albo kulką dostanie albo chwyci ją na arkan jeden z geryllasów.

Nie takie jednak widać było jej przeznaczenie. Biedna klacz nie mogła się zdecydować na rozłąkę ze swoim panem, i galopowała za nami. Nie zbyt wytrwała pozostała w tyle, i dopędzoną została przez nieprzyjaciela który zauważywszy naturalnie że zdobycz to nie pożądana, pozostawił ją w spokoju.

Znalazłszy się tym sposobem na samym końcu oddziału swobodnie podążała za nim poszukując pana swojego, a sądząc po zadartych do góry nozdrzach sądzić by można że go odszukiwała uchem.

Kiedy mijając następnie szereg stojących gerylasów przelatywała obok z nich jednego ten chciał ją uchwycić najpewniej dla tego że miała na sobie stare siodło, a przy nim arkan przywiązany do kuli. Klacz siodło i arkan nie wiele warte były, jednakże zauważył to widać i jeździec zamiast bo rzucenia za nią swego arkanu wysunął się tylko nieco na przód żeby ją ręką uchwycić za uzdę.

Przerachował się biedak—jednakże, bo nie była to znowu sprawa tak łatwa. Kiedy się nachylił ażeby pochwycić uzdę, stara klacz zarżała dziko, zebrała siły a wierzgnąwszy uderzyła w bok Meksykanina.

Uderzenie było silne słyszeliśmy go wszyscy. Jeździec opadł na siodle a następnie runął na ziemię ciężko raniony i jak się zdawało z połamanemi żebrami.

Na dziki krzyk klaczy odpowiedział głośnym śmiechem jej pan — i śmiał się tak dotąd aż póki nie zobaczył jej przed sobą.

— A no to i jesteś moja stara zawołał, a spisałaś się co się nazywa. Chwat jesteś i samaś się znalazła i powracasz mi moje siodło. Hurra! Cóż czy nie znajdujesz Bill że jest piękną w tej chwili?.. Nie oddałbym jej na wagę złota to prawdziwa ozdoba zwierząt. Chodź i stań tutaj moja poczciwa.

I ucieszony strzelec ustawił klacz przy skale a sam umieścił się po za nią jak po za nową barykadą przeciwko nieprzyjacielowi.

Nasza chwilowa radość została w krótce przerwaną, wypadkiem który w sercach naszych nowe wzniecił obawy. d. c. n.

WYCHOWAJ JĄ!

Pannie Waleryi Ż....

Autor.

III.

(Dokończenie.)

Tak śmiałe i przeciwne dzisiejszemu zapatrywaniu się dobrze myślącego ogółu —zdanie, wymaga z mej strony naprzód wyjaśnienia, powtóre postawienia na miejsce tej zasady — innej, która powinna mieć tę wyższość — że jako teoryja byłaby bezwzględną, bezwyjątkową, obchodzącą cały ogół kobiet — nie zaś mniejszość—a zastosowana praktycznie, zużytkuwując też same siły ekonomiczne, dałaby temu ogółowi środki wywalczenia sobie równouprawnienia. To właśnie ma być przedmiotem tych kilku ostatnich wierszy.

Jeżeli pominiemy kwestyją emancypacyi, a będziemy zapatrywać się na pracę produkcyjną kobiet—*jako na kwestyją ekonomiczną*, to jest, że ostatecznem naszem zadaniem, będzie spożytkować masę umysłów i rąk kobiecych leżących dziś odłogiem postaramy się w takim razie, naprzód—o wyszukanie takiej pracy dla kobiet (chcących i mogących pracować produkcyjnie) któraby pod względem ekonomicznym większe im przynosiła korzyści, niżeli szycie, haft i inne zajęcia, którym się dziś oddają i których tychże kobiet, płaca zarobkowa, w skutek konkurencyi tychże kobiet, spadła bardzo nisko. Powtóre będziemy się starać o przysposobienie jak najlepsze kobiet, czyli o specyjalne ich wykształcenie w zawodach, którym się mają poświęcić, jako *ekonomicznie-korzystniejszym.*

A że oczywiście—nie będąc specyjalnie do tego przygotowanemi, nie będą mogły pracować ekonomicznie, cała więc kwestyja pracy kobiet—jest kwestyją wykształcenia kobiet.

Widzimy więc, że praca produkcyjna kobiet, jako zadanie czysto ekonomicznej natury, ma w zasadzie kwestyją pedagogiki— mianowicie specyjalizacyją wykształcenia kobiecego.

Otóż zasada ta zastosowana tylko na zużytkowanie bobiecych sił produkcyjnych powinna wpłynąć na zmianę kierunku całego wykształcenia jakie kobieta *mająca w przyszłości* pracować ekonomicznie—dziś otrzymuje. Lecz któraż z dziewczątek uczących się w dzisiejszych gimnazyjach i pensyjach, może zaręczyć, że niewypadnie na jej dolę, szukać środków utrzymania się, zapracowania na siebie—szukać pracy produkcyjnej? I czy podobna myśleć o tem dopiero wtedy, gdy gwałtowna da się uczuć potrzeba? A gimnazyja i pensyje, czy ją do tego uzdolnią?

Sądzimy zatem, że *wszystkie* kobiety bez względu na późniejsze swe losy, powinny odbierać wykształcenie specyjalne.

Kwestyja więc wychowania kobiet, jako obejmująca cały ogół i stanowczo na ten ogół oddziaływająca, dałaby się bez porównania korzystniej zastosować jako *zasada emancypacyi,* niżeli kwestyja pracy produkcyjnej, niedostępna większości kobiet i będąca tylko skutkiem koniecznością, następstwem samegoż wychowania, a więc nie źródłem, sprężyną, nie *zasadą* emancypacyi.

Wychowanie dopiero może stworzyć specyjalistki—dla których otworem staną się źródła pracy produkcyjnej, z których jednocześnie zaczerpią kobiety niezależność—wyemancypują się.

Zasada ta najplastyczniej przedstawi się nam, jeżeli zechcemy zwrócić na chwilę wzrok na dzisiejsze wychowanie kobiet.

Dotyczasowy system wychowania domowego, nietylko że nie wpływał na rozwinięcie samoistności kobiety, lecz przeciwnie od dziecka starano się przyzwyczaić ją do przekonania, że

może zostać tylko „bluszczem obwijającym się koło silnego dęba“. Jeżeli spostrzegano w dziewczynce jakieś wady dziecinnej czysto natury— pewną lękliwość, nieśmiałość, zbytnie pieszczenie się, czułostkowość — któreby gromiono w chłopcu—starano się podnosić je, potęgować, jako „cechy kobiecości“. Część tych wad wyrabiano przez wychowanie—część prawem dziedzictwa, przechodziła z matek na córki. „Co wolno chłopcu to niewolno dziewczynie,“ było ulubionym ogólnikiem, zastosowanym w domowej pedagogice. Słowem od dziecka zabijano w kobiecie własną wolę, energiję, rzutność, męztwo, wytrwałość, siłę charakteru, samodzielność myśli i czynów, pielęgnowano słobowitość, cierpliwość, poddanie się cudzej woli, drobiazgowość, czułostkowość —kokieteryją—zwaną wabnością, pieszczotliwość, egzaltacyją. I po tem wszystkiem, mówiono i dowodzono, że kobieta ma zupełnie odmienną naturę od mężczyzny, że inaczej kombinuje nawet myśli i pojęcia, odmienne ma upodobania, inaczej czuje i kocha itd. itd. —a niezwrócono uwagi na ten prosty fakt — że muszą być różne skutki—różnych przyczyn —że inaczej wychowana, inaczej też musiała się ukształtować, a tak zwane wrodzone instynkty, tłómaczą się dziedzicznością usposobień. Zakres naszej pracy, nie pozwala nam na wyczerpanie tej materyi—mogącej utworzyć spory tom, i zmusza nas przyjrzeć się pobieżnie dalszemu ciągowi tego wychowania, czyli tak zwanej *edukacyi.*

System jej—skierowany głównie ku celom ornamentacyjnym—zależał dotychczas na pobieżnem obznajmieniu się z wielu naukami, i nauczeniu się jednego lub dwu obcych języków i gry na fortapijanie, jako niezbędnych przedmiotów, które mogą od razu w salonie wykazać całą świetność odebranej edukacyi, przez *pannę na wydaniu.* System ten mniej lub więcej rozwijał umysł, niedając mu jednak pożywnego, realnego pokarmu i stosownie do zamożności uczących się, mniej lub więcej gruntownie mógł być przeprowadzonym. Młodzieniec, który kurs taki przejdzie w gimnazyjum, wybiera którykolwiek z fakultetów uniwersyteckich, ucząc się dopiero specyjalnie. Jeżeli posiada fundusze na to kształcenie się, tem lepiej— kapitał ten będzie mu kiedyś dobrze procentował. Jeżeli ich niema, przebija sobie drogę siłą charakteru, wytrwałości, żądzą zdobycia sobie niezależnego stanowiska, słowem siłą— jaką wyrobiło w nim *domowe wychowanie,* któremu przewodniczyła zawsze myśl *zostania czemś,* poświęcenia się jakiemuś zawodowi.

Panna zaś dorastająca, po skończeniu tej edukacyi, jeżeli ma majątek, nic już nie robi, starając się tylko jaknajkorzystniej sprzedać. Kupców nie brak, gdyż wzięcie posagu—choćby z dodatkiem żony—zawsze to niezły interes. Jeżeli zaś jest ubogą— przedstawiają się jej tylko dwie alternatywy: albo czekać zbawiciela—męża, będąc na całkowitem utrzymaniu rodziców lub krewnych; albo także czekać zbawiciela—męża, zarabiając igiełką lub lekcyjami, przynajmniej na swe obuwie i ubranie, będąc zawsze jeszcze ciężarem rodzicom.

Z tych to kobiet, po większej części rekrutuje się zastęp guwernantek, których fatalne położenie przypisać należy, raz—konkurencyi, powtóre i głównie, nieposiadaniu przez wiele z nich wysokiego poczucia osobistej godności, które daje specyjalne wykształcenie. Są to po większej części *nauczycielki z przypadku,* z musu, które nie studyjowały pedagogii, jako nauki, nie kształciły się celem poświęcenia się jej, lecz zostały guwernantkami skutkiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Mało rozwinięte i skrzywione wychowaniem, w swym własnem interesie, szerzą zarazę obskurantyzmu zwanego edukacyją i eskamotują wykształcenie młodych dziewcząt, tworząc nowe pokolenia „panien na wydaniu.“

Z nich to jeszcze, od czasu nowego ruchu emancypacyi, formują się zastępy tak zwanych *pracowniczek.* Każda która ma łatwą sposobność chwyta ją, która ma kilkaset złotych funduszu, poświęca ten kapitał, drapuje się w modną tiunikę emancypacyi (dla czego się w nią nie drapują przekupki z za Żelaznej Bramy, magazynierki i guwernantki — niewiem, pomimo że takie same, jeśli nie większe mają do tego prawo, i na gwałt ima się jakiejś pracy, której cena zarobkowa, nie jest tak zniżoną jak szycia lub guwernerki. Płaci za naukę w warsztatach — gwarantując sobie jak najkrótszy jej termin, gdyż nie ma utrzymania a nowa specyjalność, powinna go dać jak najprędzej. Znam takie, które w pół roku, chcą zostać specyjalistkami w fachu potrzebującym długoletnich studyjów i wielkiej wprawy. Są panie, które zaręczały mi, że w ciągu *miesiąca doskonale* nauczyły się rzemiosła np. szewctwa i pootwierały warsztaty i magazyny. Znam retuszerki nieumiejące narysować nosa i przekonane, że są filarami zakładów fotograficznych. Cóż dziwnego, że zarobek kobiecy w tych fachach ceni się bez porównania niżej od mezkiego? A niechno który z majstrów i przemysłowców, roześmieje się z tych pretensyj, za prace małą naznaczy cenę, okrzyczany będzie jako wyzyskiwacz pracy kobiecej—eksploatator! Wyzyskiwał był Ungier w swej drzeworytni i wydział kobiecy zwinął; wyzyskiwali małżonkowie Szmidt i zbankrutowali; wyzyskuje „Spółka pracy kobiet“— i ta niedługo pewno kwitnąć będzie. Czemże się to dzieje? Wyzyskując nauczanie i pracę kobiet, wszystkie te przedsięwzięcia powinny były świetnie stanąć. Spekulujący na prace kobiet, powinni byli zrobić majątki. Tymczasem upadają.

Zamiast odpowiedzi, ogłośmy konkursa: szewcki, drzeworytniczy, introligatorski, retuszerski i t. d.

Gdyby nagrodę w którymkolwiek z tych fachów, do których najwięcej rzuciło się dyletantek—otrzymała praca kobiety, byłby to fakt tak wyjątkowy, że nie zmieniłby w niczem zgoła naszych wywodów—fakt z resztą nieprawdobny na dzisiaj.

Dotychczas jednak, takie zwycięztwo jest bardzo niepewne, i nie przychodzi mi na myśl ani jedno nazwisko, z pomiędzy tej masy nowych pracowniczek, któreby o nagrodę z szewcami, introligatorami, drzeworytnikami, retuszerami, buchalterami i t. d. ubiegać się mogło. *) Nie można się temu dziwić, wiedząc że wszystkie te pracowniczki, rzuciły się z ostateczności, przypadku lub mody do pracy— z myślą jak najspiezniej coś zarabiać, mieć pozór samodzielności—lecz żadna z nich nie oswajała się z tą myślą od dzieciństwa, żadna nie zrosła się z ideją—zostania czemś więcej niż panną na wydaniu, wywalczenia sobie dobrego bytu i zrobienia *karyjery* inaczej, jak zamąż pójściem.

W rodzinach biedniejszych, gdzie nie posyłają córek do gimnazyjów i pensyj, los kobiet jest równie godnym pożałowania. Jakkolwiek jeden cel tylko i ten sam co w sferach bogatszych rodzice widzą dla swych córek— wydanie ich za mąż—to przecież pragną, by zanim to przyjdzie do skutku, córka cokolwiek im ulżyła gdy tylko z dziecięcych lat wyjdzie. Oddają więc trzynastoletnią dziewczynę do magazynu lub szwalni, i przynajmniej pewni są że kilka lat (jak tamte na pensyjach) darmo nie straci, że nauczy się dobrze jednego, że będzie umieć *szyć.*

Jakie życie takich dziewcząt, nie będę się rozszerzał.—Smutny to obraz, na który zapuśćmy na dziś zasłonę. Tu kobietę wyzyskują rzeczywiście od dziecka, lecz tu przynajmniej choć zbyt wielkim kosztem, uczą ją gruntownie rzemiosła, i wyszedłszy z tego terminu, częstokroć zwichnięta moralnie i fizycznie, kobieta posiadająca specyjalność, może konkurować z mężczyzną. Niestety! gruntowne to wykształcenie, zbyt wiele kobiet dziś pobiera, konkurencyja za bardzo zniżyła cenę zarobkową Specyjalistka, szwaczka umiera z głodu, albo... sprzedaje się!...

Ideja emancypacyi, tu właśnie powinna podać jej rękę — wydźwignąć z tej otchłani i wskazać „nowe drogi.“

W jaki sposób otwarto kobietom u nas owe „nowe drogi“ widzieliśmy wyżej. W braku szkoły specyjalnej, przemysłowcy, posiadający warsztaty i zakłady, kantory i pracownie, zaczęli ułatwiać kobietom kształcenie się na buchalterki, fotografki, retuszerki, drzeworytniczki, zecerki, introligatorki i t. p. Dziś po kilku latach prób—odwołuję się do wszystkich przedsiębierców czy nie byli grubo oszukani, pomagając kobietom wydostać się na nowe drogi, w przekonaniu że one zastąpią taniej, sumienniej, z właściwą im dokładnością i delikatnością— pracę męzką? Czy dotychczasowe próby, utworzyły szereg zdolnych, specyjalnych, wytrawnych, praktycznych i samodzielnych pracowników płci żeńskiej, którzyby zdołali w zupełności zastąpić personel męzki jakiegokolwiek kantoru, zakładu lub warsztatu?

Jeżeli odpowiedź wypadnie przecząca, będzie to jednym więcej dowodem, że tak pojęta zasada pracy kobiecej, nie tylko nie wpłynie na rozwój idei emancypacyi, na przyznanie praw dotychczas im odmawianych — lecz nawet nie stworzy dobrych specyjalistek — co jest jej ostatecznym celem.

Specyjalność musi stać się ideją kobiety chcącej zostać samodzielną—jak jest ideją mężczy-

---

*) Pomiędzy retuszerkami znam takie—które np. znakomicie retuszerują klisze, lecz nie umieją na papierze i na odwrot. Introligatorka która umie doskonale robić pudełka, nie oprawi książki i jakkolwiek uwzględnić tu należy podział pracy przy fabrykacyjach na wielką skalę konieczny, to jednak żadna ze znanych mi pracowniczek, nie jest wszechstronnie ze swym fachem obeznaną.

zny, który dzieckiem marzy już o zostaniu żołnierzem, malarzem, kupcem lub doktorem.

Wychowanie musi jej dać podstawy tej samodzielności, a wykształcenie—czy to szkolne, czy domowe, powinno być tylko przygotowaniem do specyjalnych studyjów.

Wszelkie demarkacyjne linije pomiędzy wykształceniem i całym systemem wychowania kobiety a mężczyzny, powinny być raz na zawsze zniesione. Jak nie ma mężczyzny, któryby nie zarumienił się, gdyby mu zarzucono że jest *niczem*— że nie ma specyjalności, tak samo nie wolno jest kobiecie zostać *tylko kobietą*, lecz każda powinna od dziecka kształcić się z *celem zostania specyjalistką*.

Jeżeli zawodem jej ma być *nauka*, niech przechodzi przygotowawcze klasy gimnazyjów, dla oddania się następnie jednej z gałęzi wiedzy, na odpowiednim fakultecie, któregokolwiek z uniwersytetów, przyjmujących kobiety.

Jeżeli nie ma na to funduszów, lub żelaznej woli do zwalczenia niedostatku, niech nie zawraca sobie głowy historyją, kosmografiją, hemiją, matematyką, literaturą i t. d. które przejdzie tylko po łepkach, lecz niech mając lat 13 lub 14, zacznie wołać specyjalnego wykształcenia w jakim fachu, dającym pewny kawałek chleba.

Niech rodzice pamiętają, że zapóźno jest zaczynać uczyć się, gdy potrzeba zarabiać, niech wymiotą ze swej głowy wszystkie arystokratyczne śmiecie, które przeszkadzają im zdrowo patrzeć na przyszłość dzieci.

Niech wołają o szkoły specyjalne dla swych córek, zamiast wołać do Pana Boga o zesłanie im tylko dobrego męża.

Wtedy dopiero, wtedy — gdy otworzymy wzorowe warsztaty i pracownie, bez chęci natychmiastowych wielkich zysków pieniężnych; specyjalne szkoły i specyjalne instytuta dla kobiet; gdy pozwolimy im uczęszczać do uniwersytetów, których podwoje pod naciskiem mas żądnych nauki, muszą się otworzyć; gdy zjawi się u nas nowy Wassar, który poświęci grosz w pocie czoła zebrany na założenie takich szkół; wtedy gdy każda kobieta zostanie specyjalistką, bez względu na to, czy po wyjściu za mąż znajdzie czas i sposobność specyjalność tę stosować—wtedy dopiero utworzy się z kobiet niezwyciężony legijon, z którym prawodawca musi się rachować. Gdy najsilniejsza część tego zastępu, z bronią specyjalności w ręku, powiększy produkcyją kraju; gdy druga część poświęciwszy się pracy zachowawczej — wykształceniem swem specyjalnem i gotowością w każdej swobodnej chwili specyjalność tę stosować, wywrze błogi wpływ (mając patent lub kwalifikacyje w kieszeni wraz z kluczami od spiżarni) na stosunki domowe i na byt rodziny—słowem, gdy kobieta będzie kształcić się niewyłącznie na żonę, matkę i gospodynię — tak samo jak nas nie na mężów, ojców i gospodarzy kształcono,— lecz na *człowieka*; wtedy kwestyja emancypacyi będzie rozwiązaną, kobieta zdobędzie samodzielność, a z nią i prawa swobodnego człowieka.

Henryk Filipowicz.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Podróż naukowa po pokoju, odbyta z młodemi przyjaciołmi przez H. Wagnera. Przekład z niemieckiego, z wielu rycinami. Warszawa Nakładem i drukiem S. Orgelbranda synów. 1875 r. str. 150 in 8-o.

Autor, biorąc początkowy meteryjał z zamkniętej sfery pokoju, wprowadza powoli umysł dziecięcy w szerszy świat zjawisk przyrodniczych, objaśniając wszystko, co się koło niego dzieje, a na co ze zdziwieniem niekiedy spoglądał, lub czego dostrzedz nie zdołał. Tym sposobem odkrywa przed nim bogate źródło elementarnej wiedzy, w przystępną i interesującą przyobleczone formę. Wykład bardzo przystępny, żywym opisowym językiem skreślony. Mimo tej dostępności widoczną jest prawdziwa gruntowność naukowa, która zniżając się jednakże do poziomu umysłu dziecięcego, przedstawia mu najświeższe wyniki wiedzy. Słowem mało napotkać można w piśmiennictwie naszem, równie pożytecznych w tym kierunku dzieł. Zarzucilibyśmy tylko autorowi niesystematyczność w traktowaniu różnorodnych przedmiotów. I tak, w pierwszym rozdziale mówi o wietrze w pokoju i objaśnia wszelkie zjawiska atmosferyczne, jakie się tam odbywają. Dalej przechodzi do dziedziny zoologii i kreśli historyją życia muchy pokojowej. Następnie znowu powraca do zjawisk atmosferycznych i mówi o pogodzie w pokoju i zamarzniętych szybach. Dla czego rzecz ta nie następuje zaraz po pierwszym rozdziale, z którym ścisły łączy ją związek. W ogóle w całej książce widzimy niewłaściwe uporządkowanie przedmiotu. Błąd ten jednakże może usunąć osoba, kierująca nauką dziecka, zmieniając porządek w czytaniu rozdziałów.

Prócz cennej nader wewnętrznej wartości, dziełko to odznacza się ozdobną zewnętrzną formą wydania i ładnemi rycinami, objaśniającemi treść książki. Wogóle praca to ze wszech miar zasługująca na uznanie, i usilnie też zalecamy ją rodzicom i pedagogom naszym. Może ona posłużyć za pierwszy przewodnik, wprowadzający rozwinięty już nie co umysł młodociany, w sferę zjawisk naturalnych. A materyjał nader tu obfity, choć nie wyczerpujący zupełnie.

Za staranny przekład tłomaczowi słuszna należy się podzięka.

Dni, nocy i godziny przez Maurycego hr. Dzieduszyckiego. Lwów. Nakładem Ks. Edwarda Podolskiego 1874 r. str. 55 in 8-o cena kop. 35.

Autor zajmuje się wymiarem czasu ze stanowiska historyi i archeologii. Praca jego dzieli się na 4 części. W pierwszej rozpatruje różnorodne w przeszłych wiekach pojmowanie wyrazów: dzień, noc i godzina, Sięgając myślą aż do początku świata, objaśnia sześć dni tworzenia jako symboliczne wyrażenie następujących po sobie długich epok. Zupełnie prawie pomijając milczeniem Greków i Rzymian, mówi dalej o Germanach i Gallach, jak ich Tacyt i Cezar opisują, iż na noce, a nie na dnie czas rachowali, co utrzymało się w prawodawstwie aż do czasów Karola Wielkiego.

W Litewskich ludowych pieśniach czas oznaczony bywa również nocami.

Druga część pracy p. D. traktuje o różnych wyobrażeniach, jakie przypisywano w starożytności do dni i godzin. Wspomina tu autor o Hezyjodzie który pierwszy wprowadził podział czasu na dni szczęśliwe, do pracy, a w szczególności do pewnych zajęć sposobne, i nieszczęśliwe, w których Grecy nic przedsięwziąć nie śmieli. Dalej mówi o usobieniu godzin dnia w bóstwach Greckich. Napomknąwszy krótko o Rzymianach, przechodzi nareszcie do nowych narodów i w końcu zajmuje się szczegółowo Polską, która wraz z całą Słowiańszczyzną najbardziej oryginalne przedstawia w tym względzie cechy, czego dowodzi sama nomenklatura dni.

W trzeciej części traktuje autor o znacznych różnicach, jakie napotykamy w dawnych wiekach u obcych narodów i u nas w znaczeniu trwania dni i nocy, od początku i końca, niemniej liczby ich godzin. Ostatnia wreszcie część traktuje o rozlicznych narzędziach, służących od najdawniejszych czasów wszędzie i u nas do mierzenia godzin.

Rzecz to w ogóle zajmująca i w udatny sposób skreślona. Materyjał jednakże zbyt ubogi i urywkowy, w skutek czego całość przedstawia się niepełną i zbyt szkicową.

Anna z Podgórza. Z podróży po Europie. Wydawnictwo biblijoteki Mrówki t. 35. Lwów 1875 r. Nakładem Księgarni polskiej. Stronnic 136 in—16-o Cena kop 25.

W podróży po znaczniejszych ogniskach życia europejskiego zwiedza autorka znaczniejsze przybytki sztuki i nauki: teatry, galeryje obrazów, gabinety przyrodnicze, stare świątynie, gdzie spoczywają zabytki przeszłości i t d., i wypowiada różnorodne spostrzeżenia, sądy krytyczne i w ogóle wszelkiego rodzaju myśli, jakie się jej drogą asocyjacyi nasuwają. Przypatruje się też różnorodnym objawom życia społecznego i w ogóle w pięknych barwach odzwierciadla wszystko, co widzi na około siebie. Z obcej atmosfery myśl jej ulata często w krainę naszego życia i twórczości. Pisząc np. o Wagnerze, wspomina zaraz o naszym Moniuszce: w galeryjach obrazów odszukuje płodów sztuki ojczystej i t. p. Rzecz napisana bardzo zajmująco, językiem obrazowym, niekiedy nawet poetycznem. W ogóle całość przedstawia się jako swobodna pogadanka, nie mająca pretensyi do ścisłej naukowości.

A. Pilecki.

Książki powyższe nabyć można w księgarni A. Kowalskiego. Ulica Nowy Świat Nr. 39.

ŚLADY ŻYCIA.

XII.

Tyle życia, ile... w czynie.

Z przyjemnością widzimy zawsze na katedrze prelegenta-specyalistę, który w przystępnej formie daje do spożycia żądnym wiedzy jednostkom pożywne jej ziarna. W sferze nauk ścisłych, do rzędu których w ostatnich czasach i ekonomija zaliczać się poczyna, tylko gruntowna i wszechstronna znajomość przedmiotu, może być rękojmią należytego popularyzowania. Nie dosyć tu znać ostatnie wyni-

ki. na polu nauki zdobyte, i w umiejętną przyoblec je formę. Trzeba znać dobrze wszystkie zakątki tego gmachu, z którego szafować pragniemy. Często jednakże na arenie tej występują nie specyjaliści, lecz ludzie ogólnie wykształceni. W dniu 11 b. m. wystąpił na katedrze w obec szczupłej garstki słuchaczów w sali ratuszowej zebranych, pan J. K. Gregorowicz, Redaktor Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci i mówił „O zasobie i jego znaczeniu w gospodarstwie społecznem." Zasłużony bardzo skądinąd pracownik na polu piśmiennictwa naszego, znalazł się tu w nie swojej sferze, nie umiał więc w zupełności spożytkować zebranego materyału i ściśle trzymać się granicy obranego przedmiotu. Często też ze sfery jego wychodził prelegent, robiąc wycieczki na pole ogólników tylko. Pierwsza część odczytu grzeszyła zbytnim błąkaniem się w sferze pojęć oderwanych, druga jednak miała już więcej praktycznego znaczenia. Rozpatrywał w niej prelegent miejscowe stosunki ekonomiczne, wykazując ujemne strony cel rozwoju, główną przyczynę których upatrywał w naśladowaniu obczyzny. Przyznajemy p. G. zupełną słuszność, iż wszelkie zaszczepianie na swojskim gruncie obcych urządzeń, bez należytego zastosowania ich do miejscowych potrzeb, złe tylko może sprowadzić skutki. Lecz szanowny prelegent przecenia siłę tego wpływu. Naśladowanie obczyzny nie jest już u nas głównym motorem ruchu społecznego. Wiele jednostek i wiele instytucyj działa z poczuciem miejscowych warunków i potrzeb ekonomicznych, o czem świadczyć mogą powstałe już w wielu miejscach na prowincyi, spółki zaliczkowowo wkładowe i wiele innych pożytecznych instytucyj.

W ubiegłym tygodniu Warszawa miała miłą nowość umysłową. Na katedrze prelekcyjnej wystąpiły dwie znakomite nasze powieściopisarki, p. Marrené (Morzkowska) i p. Orzeszkowa.

P. Morzkowska mówiła „O pracy." Zaznaczywszy w kilku słowach znaczenie jej, jako najważniejszego czynnika w sferze wytwórczości ekonomicznej, owoce której przechodzą w spadku od pokolenia do pokolenia, P. M. z góry zrzuciła z siebie jarzmo specyjalistki, nadając odczytowi swemu charakter swobodnej pogadanki naukowej. W dalszym też ciągu odczytu widzimy główne cechy tego rodzaju utworów w braku systematyczności i gruntownego, ściśle naukowego obrobienia, obok świetnej zewnętrznej formy wykładu. Lecz wróćmy do samej treści odczytu. Prelegentka starała się wskazać w historycznym ciągu główne zarysy losów, jakim podlegała praca i samo o niej pojęcie. Pierwotny jej charakter polegał jedynie na wypręż eniu muskułów ciała, bez żadnego prawie udziału inteligencyi. W skutek tego spoglądano z pogardą na niewolnicze tłumy, ciągnące ciężką taczkę pracy. Ideja Chrystyjanizmu podniosła nieco jej znaczenie. Cechy średniowieczne wytworzyły siłę, nadającą pewne prawa roboczej masie. Mimo to miały one i ujemną stronę, stanowiły bowiem zasklepione w sobie korporacyje, do których dostać się było można tylko prawem dziedzictwa, lub znaczną sumą wkupnego. Wskutek tego monopol i brak konkurencyi wpływały szkodliwie na rozwój handlu i przemysłu. Ścieśniony systematem protekcyjności ruch ekonomiczny, nie mógł na właściwe wejść tory. Dopiero, kiedy znakomici ekonomiści nowocześni, wystawili znakomitą zasadę, „laissez faire, laissez passer," wyzwolona z pętających ją więzów praca, obfite przynosić zaczęła owoce. Wprowadzenie maszyn zastąpiło w części czysto mechaniczne wysiłki pracy ludzkiej, dozwalając uszlachetnić ją żywiołowi inteligencyi. W dalszym ciągu wskazała w sferze pojęć o pracy p. M. na dwie panujące obecnie szkoły ekonomiczne, z których jedna trzyma się ślepo zasady wolności druga zaś robi pewne niezbędne w tym względzie ograniczenia. Następnie rozpatrując jasno wykazujące się jeszcze niedobory w organizacyi pracy i stanu klas roboczych, prelegentka stara się wykazać środek, najbardziej zaradczy i słusznie upatruje go w rozwoju oświaty, która, rozprzestrzeniona w całej masie nie wpływa wprawdzie bezpośrednio na polepszenie stanu ekonomicznego pracującej masy, lecz podnosząc ogólny poziom inteligencyi i moralności, staje się potężną dźwignią ogólnego dobrobytu.

Mimo niesystematyczności i braku ścisłości naukowej, prelegentka poruszyła wiele nader ważnych kwestyj, szczególniej tyczących się ekonomicznych stosunków kraju naszego i wiele bardzo trafnych uwag wypowiedziała. Hucznemi też pożegnaną została oklaskami.

Po pani Morzkowskiej w zeszły czwartek wstąpiła na katedrę p. Orzeszkowa i mówiła „O wpływie nauki na rozwój miłosierdzia." Prelegentka starała się wykazać, iż głównym czynnikiem, wpływającym na rozwój tego uczucia jest nauka, i starała się dowieść swej tezy, wykazując, w jaki sposób obchodzenie się z choremi umysłowo i moralnie t. j. z obłąkanemi i z więźniami, powoli uszlachetniało się z postępem wiedzy, i zależało od wyników takowej w sferze, mającej bezpośredni związek z umysłową i moralną chorobą, nurtującą łona tych nieszczęśliwych. I tak, co się tyczy obłąkanych, zaznaczyła prelegentka, iż w starożytności, jeszcze Hippokrates upatrywał fizyczne źródło chorób umysłowych. Na podstawie szczupłego materyjału, zbyt wysoko stawia p. O. pod tym względem starożytność. Z humanitarnego jej piedestału strąciły miłosierdzie ludzkie podług prelegentki, zabobony i gusła średniowieczne. Chorzy umysłowo, uważani za opętanych od szatana, srogiemu ulegali losowi. Lecz czyż starożytność była wolną od różnych zabobonów! Bynajmniej! Świat klasyczny zdobył wprawdzie pewne zasoby przyrodniczej wiedzy, nie zagłuszyły one jednakże głosu dziecięcej fantazyi ludu.

Nie zaznaczył on jednakże tak krwawemi barwami zabobonnej wiary swojej. W dalszym ciągu, przechodząc do nowych dziejów, kiedy odrodzona wiedza starożytności, skierowała myśl ludzką na świetlane tory, rozjaśniające ponury mrok średniowiecznych przesądów, zaledwie ku końcowi zeszłego i w początku naszego wieku wykazuje prelegentka pierwszą prawdziwie ważną na tem polu działalność dr. Filipa Pinela i ucznia jego Jana Bacquirola. Dziwne zaiste, iż p. O. przemilczała zupełnie o księżach bonifratrach, którzy jeszcze przy końcu XV wieku, wielce się przyczynili do ulżenia losu nieszczęśliwych braci.

Dalej wykazując w historycznym ciągu, w jaki sposób pod wpływem wiedzy, uszlachetniało się postępowanie z upadłemi moralnie istotami, nad których czołem grzmiał niegdyś ponury głos nieprzebaczalności, wskazała prelegentka działalność Jana Howarda, jako pierwszy postęp ku lepszemu i następnie dosyć szczegółowo opisała system więzień irlandzkich.

Szkoda zaiste, że p. O. nieuwzględniła dostatecznie drugiego, nierównie a może i bardziej ważnego czynnika, w sferze rozwoju miłosierdzia, a mianowicie ogólnego rozwoju oświaty i pojęć humanitarnych.

Mimo tych drobnych usterek, odczyt p. O. należał do najlepszych. Prelegentka umiała należycie zapanować nad przedmiotem i systematycznie uporządkować obficie zebrany materyjał, co nie małym już jest przymiotem. Forma odczytu była piękna, zanadto może piękna. Prawdy naukowe wypowiedziane pełnym krasomówczych ozdób stylem powieściowym, wyglądały niekiedy, jakby w nie swoję przystrojone szatę. Wymowa p. O. porywała przecudną niekiedy potęgą słowa i odrywała myśl zachwycającą się jej dźwiękiem, od samej treści wykładu. Wielokrotne też oklaski były należytym hołdem za rozkosz prawdziwą, jaką nas prelegentka obdarzyła.

Drugi doroczny koncert na dochód niezamożnych studentów uniwersytetu naszego, który się odbył w d. 14 b. m. zebrał, jak zwykle tłumy publiczności. Pobudką tu był nie tylko cel koncertu, lecz zarazem i doborowy jego program. Pierwszą część stanowiły wyjątki z opery Ryszarda Wagnera „Lohengrin." Chociaż sam twórca „muzyki przyszłości" wyrzekł, iż utwory jego tylko na scenie wywrzeć mogą potężne wrażenie, a estrada koncertowa nie jest dogodną dla nich areną, jednakże wybrane ustępy siłą olbrzymiego talentu, zachwycały zebraną publiczność. Przyczyniła się do tego niepomału staranna nader gra orkiestry. Chóry wprawdzie niedomagały nieco, — całość jednakże, podparta śpiewem takich artystów i artystek jak p. Dowiakowska, Fileborn i Wasilewski wyszła wcale dobrze.

Po tak poważnej a nowej dla nas uczcie artystycznej, nastąpiła w drugiej części wiązanka nadobnych tworów swojskiej muzyki. P. Fileborn odśpiewał z prawdziwem uczuciem Aryją z hrabiny St. Moniuszki. P. Dowiakowska ślicznie wykonała romans z opery „Paryja," tegoż kompozytora, a następnie odśpiewaniem przecudnego mazurka Chopina, prawdziwie zachwyciła całą publiczność.

W części deklamacyjnej przyjęła udział p. Modrzejewska. Z wypowiedzianych przez nią utworów tylko „Pogadanka" Ujejskiego, nadawała się do koncertowej deklamacyi i w udatny też wyszła sposób. „Echo kołyski" nie ma warunków, niezbędnych po temu. Zbytnia szorstkość i nierówność wiersza i rymy męzkie, tamowały urok, jaki zwykle deklamacyja znakomitej artystki na nas wywiera.

Zakończyły wreszcie koncert dwa przecudne wyjątki z symfonii konkursowej J. F. Dobrzyńskiego, które, niestety, nie znalazły uznania w pewnej cząstce publiczności, pospiesznie opuszczającej salę. De gustibes non est disputandum!

W ogóle widzimy, iż koncera stud. po ś. p. Moniuszce, w dobre również dostały się ręce. P. Münchheimer stara się zachęcić publiczność naszę do ich poparcia, nie tylko odwołaniem się do szlachetnego celu, lecz zarazem i obficie przygotowaną wyborową ucztą artystyczną. Tym sposobem każdy z uczęszczających na koncert, nie powie iż za grosz, złożony na ołtarzu dobra ogólnego, żadnej nie doznał przyjemności. Za niespracowaną szlachetną działalność, serdeczne Szan. Dyrektorowi należą się dzięki.

Z dniem pierwszego lipca ma powstać odrodzony Ekonomista. Pismo to dotąd smutnym ulegało losom. Nieubłagana obojętność ze strony ogółu, tamowała wszelkie usiłowania redakcyi. Wielokrotne w tym względzie odezwy prasy, pragnącej zaprotegować poważnego kolegę swego, żadnych nie przyniosły rezultatów. Mimo to były redaktor ś. p. Sommer z godną uwielbienia wytrwałością prowadził rozpoczętą pracę. Oby ci, którzy po nim wzięli na siebie pożyteczne to wydawnictwo, naśladowali wytrwałość zmarłego, a u ogółu lepsze znaleźli poparcie.

W dniu 7 b. m. jeden z żyjących jeszcze poetów naszej przeszłości, Seweryn Goszczyński, obchodził we Lwowie pięćdziesięcioletnią rocznicę wstąpienia w szranki literackie. Szczupłe tylko grono bliższych znajomych i przyjaciół, uświęciło tę uroczystość skromnem towarzyskim zebraniem......

W ostatnim Nr. Kroniki Rodzinnej zwrócił uwagę naszę artykuł wstępny p. t. „O stanowisku obecnym poezyi u nas i jéj zadaniach." Temat to piękny i zajmujący. To też z ciekawością wzięliśmy się do czytania, ale od pierwszych zaraz wierszy doznaliśmy rozczarowania. W artykule tym pełnym komunałów oryginalne nader spotykamy też poglądy. Oto np. mówiąc o filozoficznej głębi poezyi, powiada autor. „Znaczna część naszych dzieł filozoficznych, które w owej epoce naznaczyły zwrot całej szkoły i zaważyły w systematach współczesnych, jest poniekąd tylko streszczeniem, wykładem i usystematyzowaniem tego, co tętniło w pieśni, co poeci w natchnieniach swoich zdobyli lub przeczuli." Więc filozofija nasza byłaby poprostu wyciągiem z poetycznych utworów wieszczów, a myśmy sądzili, że studyja nad tą nauką wymagają, długiej, sumiennej pracy.

Szanowny Redaktorze!

W Nrze 9-tym „Opiekuna Domowego" z dnia 4-go b. m. wyczytałem korespondencyją p. St. Witkiewicza, datowaną ze stycznia r. b. a występującą doryweczo przeciwko zdaniom, jakie w Nrze 497 „Kłosów" wypowiedziałem o estetycznej wartości obrazów Wagnera i Chełmońskiego.

Nie myślę się wdawać w żadną polemikę osobistą z panem Witkiewiczem, któremu wręcz odmawiam wszelkiej kompetencyi do wyrokowania o wartości mych poglądów estetycznych. Upraszam tylko Szanownego Pana, o zamieszczenie w „Opiekunie" niniejszej odpowiedzi dla objaśnienia czytelników co do istoty samego sporu, przez p. Witkiewicza, zupełnie fałszywie przedstawionej.

Przedewszystkiem zauważyć muszę, że artystycznych zdolności p. Chełmońskiego, nigdy i nigdzie nie lekceważyłem. Przeciwnie w dwu pobieżnych wzmiankach o nim (Nra 497 i 502 „ Kłosów") powiedziałem, że młody lecz *zdolny* ten artysta, w malowaniu koni zajmuje u nas *jedno z najpierwszych* miejsc i że obrazy jego należą do rzędu tych, które zasługiwały na specyjalny rozbiór. Według mego przekonania jedno i drugie zdanie oddaje jak najzupełniejszą sprawiedliwość artystycznej działalności p. Chełmońskiego. Zarzucałem zaś artyście to, co mu każdy znający się na rzeczy zarzucić musi, a mianowicie, że w przedstawieniu koni uległ przesadzie i okazał brak staranności i wykończenia tak w rysunku jako też i w malowaniu. *) Co zaś do zdania mego, że „konie Chełmońskiego" przypominają jak najwyraźniej wpływ Wagnera," to takowe nie da się osłabić przez żadne wybiegi, gdyż stwierdza się rażącem podobieństwem tak postawy jak ogólnego charakteru wielu koni obydwu artystów. Każdy kto zna konie Chełmońskiego a porówna takowe choćby tylko z końmi na drzeworycie z obrazu Wagnera: „Wyścigi w cyrku Rzym." (Nr. 497 „Kłosów") przekonać się może o prawdzie tego zdania. Nie uwłacza to jednak bynajmniej tak energicznemu artyście jak p. Chełmoński, który ma jeszcze dosyć czasu przed sobą dla wszechstronnego wyrobienia oryginalnych stron swego talentu i zapewne z czasem sam dorobi się uznania bezstronnej krytyki, bez wszelkiej pomocy pana Witkiewicza.

Dalej przychodzi mi zaprotestować jak najenergiczniej przeciwko nadużywaniu publicznego słowa, jakiego się dopuszcza p. Witkiewicz, gdy śmie powiedzieć, że „odzieram Maksymiliana Gierymskiego z chwały i uznania." Jest to po prostu fałsz! Nie miałem dotąd sposobności wypowiedzenia szczegółowo swego zdania o nadzwyczajnych zaletach M. Gierymskiego. Mówiąc o Wagnerze wspomniałem tylko, że do jego uczniów należał i Gierymski, co jest prawdą niezaprzeczoną, przytoczoną przez biografów znakomitego artysty, ale wzmianka moja, która wywołała oburzenie p. Witkiewicza, jest tego rodzaju, że nie tylko nie ubliża pamięci Gierymskiego, nie „odziera go z chwały i uznania," lecz przeciwnie wykazuje najszczersze dla niego uwielbienie. Oto są moje słowa: „Prócz wielu artystów, mówię, zajmujących zaszczytne miejsce w sztuce krajowej, ze szkoły Wagnera wyszedł *taki mistrz*, jakim był *nieodżałowanej pamięci* Maksymilian Gierymski." W obec tego ustępu brak mi słów do scharakteryzowania napadu p. Witkiewicza. Czy tutaj wyrazy *taki mistrz*, nie naprowadzają każdego czytelnika na myśl, że mówię o niezwykłym, nadzwyczajnym *mistrzu*, którego śmierć przedwczesna, jest niepowetowaną dla sztuki krajowej stratą? Tylko zła wola mogła w mych słowach wyczytać zniewagę dla Gierymskiego. Żaden mistrz prawdziwy nie wstydzi się tego że był kiedyś uczniem, że miał przewodnika. Wstyd podobny charakteryzuje zwykle tylko niewdzięcznych ludzi i miernych artystów, o czem p. Witkiewicz zapomnieć nie powinien.

Teraz słówko o samym Wagnerze. Przekonany jestem, że ani Chełmoński ani żaden z naszych zdolniejszych artystów, nie zechce podnieść blasku swych obrazów przez poniżenie głośnego imienia Aleksandra Wagnera. Pan Witkiewicz myli się też mocno, gdy tego celu chce dopiąć, przy pomocy tak nieszlachetnych środków. Wagner jako obcy (jest bowiem Węgrem, a nie Niemcem, jak twierdzi p. Witkiewicz) powołany został na profesora Akademi Monachijskiej, i to naturalnie miało miejsce tylko w skutek uznania jego artystycznej działalności, przez kompetentniejszych sędziów niż p. Witkiewicz. Dalej takiemu też uznaniu zawdzięcza Wagner, liczne większe zamówienia, które mu dały sposobność wykazać swój talent na wyższą skalę. W końcu tylko podobnemu uznaniu, winien nagrodzenie obrazu „Wyścigi w cyrku Rzymskim" medalem sztuki na wystawie powszechnej w Wiedniu 1873 r. O różnych pochlebnych wzmiankach krytyki obecnie rozwodzić się nie będę. W każdym razie zdania swego uzasadnionego szczegółowo w Nr. 497 „Kłosów" o istotnej wartości tego utworu nie zmienię, pomimo niełaski i gołosłownych zaprzeczeń p. Witkiewicza. Co zaś do strony technicznej tego obrazu, to wyznać muszę, że p. Witkiewicz albo obrazu nie widział wcale, albo też w goryczy swej zapomniał jak wygląda, inaczej nie mogę sobie objaśnić wystąpienia przeciwko świetności i żywości kolorytu. Odwołuję się w tym względzie do zdania wszystkich kompetentnych sędziów, którzy mieli sposobność widzenia tego obrazu.

Do powyższych objaśnień niech mi w końcu wolno będzie dodać, że według mego przekonania, krytyka estetyczna nie polega na schlebianiu miłości własnej artystów i bezwzględnej adoracyi ich utworów, lecz ma za zadanie: na podstawie jasno pojmowanych zasad estetycznych, wykazać tak dodatnie jak ujemne strony dzieł sztuki. Inaczej publiczność nie znalazłaby w krytyce objaśnienia kwestyj estetycznych, a artyści, szczególniej młodzi lub zarozumiali, zbyt łatwo lubowali by się w swych wadach, zamiast dbać przedewszystkiem, o rozwiązanie wyższych zadań artyzmu.

Henryk Struve.

Warszawa
dnia 11 Marca 1875 r.

*) Musimy w tem miejscu zwrócić uwagę Szan. autora na tę okoliczność, że powyższe dwa zdania o Chełmońskim dziwną zawierają sprzeczność. Niepojmujemy mianowicie jakim sposobem można w malowaniu koni ulegać przesadzie okazywać brak staranności i wykończenia tak w rysunku jak i w malowaniu" a pomimo to „w malowaniu koni zajmować jedno z najpierwszych miejsc!"

Czemże się będą odznaczli ci, którzy dalsze miejsca zajmują?... (Przyp. Red.)

Skarżą się niektórzy z Ojców na rozpuszczenie szkolnej młodzieży i mają wielką niestety słuszność—Tegoczesna młódź daje bardzo wiele ku temu powodów — Zobaczyć na ulicy jedenastoletniego żaczka z papierosem,

spotkać w lada knajpce kompanijkę *studencików, ciągnącą* bawara i *rozbijającą się* w bilard to rzeczy tak zwyczajne, że się już na nie żadnej nie zwraca uwagi. Że władze jednak szkolne na to rozprzężenie ogólne baczną zwrócą uwagę o tem nie chcemy wątpić na chwilę — pozwolimy sobie jednak *najdelikatniej* nadmienić, że szkoła bez współudziału *domu*, nie wiele poradzi—Najdelikatniej ośmielamy się zwrócić na to uwagę—bo *„już to tylko proszę nie uczyć mnie jak mam kierować moje dzieci“* jest u nas uświęconą i ściśle przestrzeganą zasadą.“ Leczyć a wychowywać potrafimy wybornie! Zgoda ale nie dziwmyż się potem że jaka nauka, takie z niej owoce... Nie potrzebuje też pewnie nauki naszej pewien rozkoszny Ojczulek, który do jednej z cukierni w okolicach Nowego Swiatu, przyprowadza z sobą codziennie i regularnie jak zapisał — ośmioletniego najwyżej pędraczka... Ojczulek przy cygarku zapija czarną kawę i zabawia się gawędką z kompanami — a synek spożywa *ciasteczko* i przysłuchuje się zbyt często temu, czegoby za lat jeszcze dziesięć, mógł bezpiecznie nie słyszeć — Ojczulek potrzebuje przeczytać gazety—otóż synek *zamawia je* dla papy—w nagrodę za co, objaśnia mu się w następstwie ryciny dajmy na to z Kladeradacza lub Journale Amusant.

Gdy tata wypalił cygarko i wypił kawę, gdy nairytował się do syta safandulstwem Mac-Mahona i chytrością Bismarcka—gdy z „ostatnich wiadomości“ pomiarkował dokładnie, że za rok za dwa najdalej, Napoleon IV będzie na tronie, a don Alfonsa *„dyjabli wezmą“* następuje odwrót do domu, przedczem atoli synek prawdopodobnie dla tego iżby się „ośmielił“ dostaje w rękę nosigrosz, z poleceniem obliczenia się w bufecie... No i pięknie — tylko niechże Szanowny papa, nie dziwi się z czasem *„co się to z tego przyzwoitego dziecka zrobiło“* bo wszystko co się zrobi, będzie naturalnem następstwem tego, co się dzisiaj robi....

P. Michał Czepiński, autor dzieła „Powszechne Ogrodnictwo“ wydał w tych czasach nową, bardzo pożyteczną książkę *„O uprawie wina w ogrodach“* —Jasny ogólnie przystępny i na doświadczeniu oparty wykład, pouczający o sposobach sadzenia, pielęgnowania, i rozmnażania winnego krzewu, cechuję tę pracę— to też chętnie polecamy ją wszystkim którzy mają ogrody, a więc korzystać z niej mogą. Bodajby przyczyniła się ona do rozbudzenia u nas zamiłowania ogrodnictwa, tej tak ważnej korzystnej a tak na nieszczęście, zaniedbanej części gospodarstwa domowego. Tego głównie oczekuje po swej pracy p. Czepiński w gorących słowach przedmowy, zachęcający do starannej szej uprawy krzewu, którego owoc — chorym ulgę i pokrzepienie, zdrowym wyborny i orzeźwiający przysmak przynosi, a w klimacie naszym jak najlepiej się udaje.

Niech żyje Offenbach! Już to kankanowa muza na dobre się u nas rozgościła. Wielbiciele jej w należytym hołdzie, chylą czoła pod potęgą wrażenia na widok bohaterów i bohaterek miłosnych, wylewających swe uczucia w dźwięcznym tonie hulaszczej piosenki. To też coraz nowe arcydzieła tego rodzaju pojawiają się na naszej scenie. Widzieliśmy już wspaniałą grecką Helenę, nieporównaną pułkownikowę z życia paryskiego, nadobną wreszcie Pericholę, która wzniosłą swą cnotę, pokrywa uroczą szatą kankanowych trykotów — słowem całą galeryją nieodrodnych dzieci pięknej Wenus i wesołego Bachusa. Teraz Dyrekcyja teatrów, a raczej specyjalnie do obdarzania nas tego rodzaju płodami, wydelegowany reżyser nowe przygotowuje rozkosze. Oto wkrótce podziwiać będziemy „Piękną perfumiarkę“—jedno z najweselszych utworów mistrza. Rolę głównej bohaterki odegra p. Wojakowska. Już to Dyrekcyja teatrów naszych umie należycie spożytkować talenta wokalne. Nic dziwnego, że tak ważną rolę p. W. powierza. Artystka ta bowiem przez dość długi czas kształciła się zagranicą i cieszy się od pewnego czasu, słusznem uznaniem krytyki. Szkodaby była,żeby tak utalentowana śpiewaczka, forsowała głos swój na ciężkich poważnych aryjach. Niech nam zaśpiewa coś ładnego, a wesołego — Baw się Warszawo!

W Niedzielę i Poniedziałek, 14 i 15 b. m. odbyły się w Piotrkowie dwa przedstawienia amatorskie, na korzyść ubogich mieszkańców miasta. Oba udały się bardzo dobrze i dochód z nich osiągnięty, zwłaszcza zaś z przedstawienia niedzielnego, na które bardzo się tłumnie zebrano, przyczyni się znakomicie do przyniesienia ulgi cierpiącym, tym więcej że należy się spodziewać trafnego i właściwego wyboru *rzeczywiście* potrzebujących wsparcia. Odegrano trzy komedyjki: „Piotr marynarz,“ „Pierwszy mąż“ i „On nie zazdrosny.“

Jedną z najniewdzięczniejszych u nas kwestyj jest sprawa żydowska. Tyle już o niej pisano, a mimo to w sferze czynu ubogie bardzo na tem polu widzimy owoce. Główną tu przeszkodą jest zasklepiała kastowość, wina której ciąży tak na jednej, jak i na drugiej stronie. Oto pouczający fakt, którego niedawno byliśmy świadkami. Do pewnego domu chrześcijańskiego przybyła młoda żydówka, szwaczka, prosząc o robotę. Wysłuchawszy jej żądania, gospodyni rzekła z oburzeniem:

— Mamy dosyć swoich pracownic. Dla czegoż was mamy wspierać?!

— Ależ pani, ja nie proszę o wsparcie — odrzekła dziewczyna—W zamian za wynagrodzenie chcę ofiarować pracę sumienną.

Jednakże nie pozwolono się przekonać, i biedna szwaczka ze łzą w oku opuściła rodzinę.

Fakt ten świadczy: 1) iż niektóre panie nasze nie mogą dotąd zrozumieć, że zaofiarowanie im za pieniądze pracy jest prostą wymianą usług wzajemnych, a nie rodzajem jałmużny i łaski z ich strony; 2) iż czyste dłonie ich nie splamiły się dotknięciem rzeczy, które znajdowały się w ręku żydówki.

Jesteśmy proszeni przez Rodzinę ś. p. Tomasza Zano, o zaznaczenie iż nadesłane nam z tym podpisem artykóły „Hreczkosieje“ i „Potrzeby“ nie są utworem zmarłego poety.

ROZMAITOSCI.

Pierwszy zeszyt zbiorowego wydania powieści J. Dzierzkowskiego, zawierający całą prawie powieść „Kuglarze“ wyszedł z druku we Lwowie.

* *

Wychodzący w Pradze Czeskiej tygodnik ilustrowany „Sve-tozor“ w numerze z dnia z 8-go Stycznia r, bieżącego podaje drzeworyt wyobrażający „Kazanie Skargi“ Matejki. Rycina wzięta zdaje się z Kłosów i skopijowana wcale nieźle. Ale co się tyczy objaśnienia ryciny, spotykamy się tu z takim dziwolągiem historycznym, że rzadko natrafić można na coś podobnego. Nieznajomość historyi pobratymczego i sąsiedniego narodu, u Czechów szczególnie jest rażącą. Ale powracając do rzeczy: w opisie tegoż drzeworytu przedstawiającego „Kazanie Skargi“ czytamy: (dosłowny przekład tekstu) na pierwszym planie spotykamy się z postacią Zygmunta III, wgłębi na wywyższeniu na lewo, siedzi matka jego Bona(?), obok zaś niej, królowa Barbara Radziwiłłówna(?).

* *

Król Siamski ogłosił listę swoich dzieci z metryką urodzenia i z datą śmierci tych, które już nie żyją. Wszystkich jego dzieci było 84. Najstarsze z nich urodziło się w roku 1823, a najmłodsze w 1872. Przedostatni król Siamski miał 63 dzieci, z których dotychczas żyje jeszcze 30. Przyznać należy, że nie wielu ojców rodziny, zdoła się poszczycić podobnem potomstwem.

* *

Gazeta Birżewyja rosyjska Wiedomosti, w korespondencyi z Szadryńska podaje, że d. 12 Stycznia i następnych w Szadryńsku odbywa się corocznie jarmark, charakterystyczny z tego powodu, iż d. 18 Stycznia ma miejsce porywanie małżonek. Zwyczaj ten ludu wiejskiego zdaje się być tylko miejscowym. W dniu tym znaczna ilość kobiet, życzących sobie wstąpić do zakonu Ś-go Adama, w strojnych ubraniach, zapełnia plac obok bazaru miejscowego. Ciekawi otaczają naturalnie kandydatki do stanu małżeńskiego. Na plac ten zajeżdżają w galopie jedne sanie za drugiemi. Z sani wyskakuje po paru młodych parobków, którzy porywają jednę z kandydatek, wrzucają ją bez ceremonii do sań, sami wskakują za zdobyczą i pędzą z nią za miasto. Porywanie takie w saniach parokonnych lub zaprzężonych w trzy konie, odbywa się prawie przez cały dzień. Porywana kobieta naturalnie krzyczy, jeżli nie z innego powodu, to przynajmniej z przyczyny bólu, jakiego doznaje, bo o delikatności, przy tej formie żenienia się, rozumie się, nie może być mowy. Otaczająca publiczność wyśmiewa się.

Oto zewnętrzna strona zwyczaju.

Wykryć pochodzenie tego zwyczaju ludu wiejskiego bardzo trudno; bardzo być może, że został przejęty od Tatarów, mieszkających w tym i sąsiednich powiatach. Zwyczaj ten utrzymuje się obecnie w ludzie dla tego, że uwalnia zawierających związki małżeńskie od straty czasu i pieniędzy dla opędzenia nader

skomplikowanych formalności przedślubnych przyjętych przez miejscowe zwyczaję. Po porwaniu narzeczonej ślub odbywa się natychmiast, a więc i wszelkie trudności usuwają się od razu. Zwykle więc, po uprzedniem porozumieniu się zawierających związek małżeński, i ich rodziców, odbywa się ceremonija porwania, z powodów czysto ekonomicznych.

* * *

Z pekińskiej korespondencyi *Gołosu*, podajemy ciekawe wiadomości o krainie, leżącej za słynnym murem chińskim, raz o zewnętrznym widoku stolicy państwa Niebieskiego.

Przejechawszy szczęśliwie Mongoliję, pisze korespondent „*Gołosu*“ w liście z 21-go września, zbliżyliśmy się do sławnego wielkiego muru, rozciągającego się, jak wiadomo, od zachodu na wschód, na 3,500 wiorst. Tu ze szczytu, ujrzeliśmy nakoniec zaczarowaną i szczególniejszą krainę — Chiny, które się nam przedstawiły w najbardziej malowniczych krajobrazach, jakie tylko może sobie utworzyć wyobraźnia człowieka. Odtąd cała miejscowość pochyla się widocznie, zniżając się w wysokim stopniu ku południowi. Na horyzoncie widać było wysokie góry, otaczające obszerną dolinę rzeki Janhe, płynącej z zachodu na wschód; na lewo piętrzyły się skaliste wzgórza z przedłużonemi zębatemi szczytami, wszelkich możebnych i dziwacznych kształtów, pomiędzy któremi widać było doliny z błyszczącemi strumieniami. Wszystkie dolne pochyłości i spadki gór, oraz dolina rzeki Janhe przedstawiały ciągłe, różnokolorowe kobierce pól, pomiędzy któremi wszędzie ukazywały się większe i mniejsze wioski, otoczone ogrodami. W sprzeczności z temi wszystkiemi prześlicznemi widokami, przy spojrzeniu po za siebie, przedstawia się wzrokowi, wysoko wzniesiony, bezgraniczny, pusty i jednostajny step „Gobi“, zamknięty jedynie przez horyzont.

Tegoż dnia dojechaliśmy do Kałganu, wąwozem malowniczym, ale po drodze niegodziwej. Kałgan nosi nazwisko od wyrazu mongolskiego „chałga“, co znaczy przejście, brama, i rzeczywiście miasto położone jest w ciasnym wąwozie i przedstawia się jako wrota z Mongolii do Chin. Tu przepędziliśmy trzy dni, obejrzeli powierzchownie miasto, zaznajomili się nieco z jego wrącem, szczególniejszem życiem, i nawąchali dosyć po jego wązkich i brudnych ulicach wszelkich zapasów chińskich, niezwykłych dla powonienia europejskiego. Kałgan ma 70,000 mieszkańców, i wygląda na obszerny bazar, łącznie z targowiskiem.

Dąlsza droga do Pekinu, na całej długości 220 wiorstowej, przedstawia najzupełniejszą niemożność jazdy kołowej. Droga przechodzi miejscami spadkami gór kamienistych, albo wązkim przesmykiem, w rodzaju korytarza, pomiędzy skałami, lub nareszcie wąwozem, zasypanym olbrzymiemi kamieniami, gdzie niekiedy trudno przejechać nawet konno, i trzeba przeprawiać się pieszo lub na noszach. Za to droga jest wesoła, prawie co 2—3 wiorsty napotyka się wsie, folwarki i zajazdy; wszędzie sprzedają wszelkiego rodzaju owoce: jabłka gruszki, brzoskwinie, winogrona i t. p. Przejeżdżający i piesi napotykają się masami, tak iż zupełnie zapomnieć można, iż się jest w drodze.

Czwartego dnia podróży dostaliśmy się do stolicy państwa niebieskiego, gdzie teraz przemieszkujemy, w sąsiedztwie z bogdychanem (władcą chińskim), ponieważ wszystkie poselstwa europejskie rozlokowane są w bliskości pałacu.

Cóż powiedzieć o słynnej stolicy państwa Niebieskiego? Powiedzieć można bardzo wiele; jeszcze więcej pisano o niej, ja więc, na pierwszy raz poprzestanę na kilku wyrazach, na wrażeniu, jakie wywarł na mnie Pekin. Miasto to zajmuje przestrzeń około 46 wiorst kwadratowych. Podobnie jak wszystkie miasta chińskie, otoczone jest ono wysokim murem i rozdzielone na dwie części, mandżurską i chińską, które razem przedstawiają w ogóle najobszerniejszy na świecie bazar, tem tylko odróżniający się od naszych bazarów, że tuż obok bogatych sklepów, napotkać można hotele, albo po prostu garkuchnie; wszelkiego rodzaju warsztaty: kuźnie, rymarzy i inne zakłady rzemieślnicze. Tu także znajdują się apteki, klasztory, biura, świątynie i mnóstwo obszernych pałaców książąt chińskich oraz chanów mongolskich. Pod nazwą „pałacu“ przywykliśmy przedstawiać sobie obszerny gmach architektury artystycznej, przyozdabiający miasto; lecz w Chinach nic podobnego wyobrazić sobie nie podobna. Tu wszystkie pałace, zaczynając od bogdychańskiego, okazują się spostrzegaczowi w postaci czterech wysokich wałów murowanych i nic więcej. Co właściwie się mieści za temi murami, jakiego rodzaju sztukę przedstawiają te pałace, to dla zwykłych śmiertelników a tym bardziej dla europejczyków zupełnie jest, niedostępnem. Ulice Pekinu, szczególniej główne, są dość szerokie lecz wszystkie pełne kurzu, brudne i cuchnące obrzydliwie; przez cały dzień są one przepełnione gęstym tłumem ludu, tak iż zdaje się że cała ludność miejska przemieszkuje tylko na ulicach. Wnosząc z tych miast, jakie już widziałem w Chinach, skłonny jestem do mniemania, że nie znajdzie się zapewne żaden kraj na świecie, gdzieby życie uliczne było tak rozwinięte, jak tutaj.

ZAGADNIENIA PEDAGOGICZNE
do opracowania dla Matek.

I

Co jest powodem powstawania u dzieci nałogu kłamstwa i jakie są najwłaściwsze przeciw tej wadzie środki zaradcze? Wskazać je na podstawie przykładów z własnego doświadczenia.

Odpowiedź najlepiej opracowana wydrukowaną będzie w „Opiekunie“ a nadto autor jako premijum otrzyma trzy książki następujące:

1) Co wychowanie z dziecka zrobić może i powinno.
2) Podwieczorki u Jadzi, książka do czytania dla dzieci.
3) Błyszczące nędze, powieść oryginalna M. Bałuckiego.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Lebdowi... w Czerepinie. Nr. 9, 10, 11, wysłano a 12 obecny wysyłamy.

P. Narbut... w Kurszanach N. 9 powtórnie wysłaliśmy.

P. Zabłoc.. w Rudni N. 9 powtórnie wysłany.

P. Herbasz... w Łyszczycach. N. 8 po raz drugi wysłaliśmy. Kalendarz należy się prenumeratorom z r. 1874. w liczbie których pan się nie znajdował.

P. Ejmont... w Żejmach. Na reklamy zawsze odpowiadamy. Nr. 25 z r. zeszłego po raz 3-ci posyłamy—koniec pow. pieniądz i praca w swym czasie był dołączony—obecnie zupełnie wyczerpany. Rs. 8 na prenumeratę „Opiekuna“ na cały rok 1875 otrzymaliśmy. Kwitu oddzielnego nie potrzeba.— Do końca roku regularnie odbierać pan będzie pismo.

P. X. Y. Z. w Piotrkowie. Wierszyk „Stokrotka“ zgrabny i bardzo, ale pomimo to nie nadaje się się do druku. Już to w ogóle wiersze albumowe rzadko kiedy odpowiadają warunkom literackim, których pismo pilnować musi.

P. Wojźn... w Omsku. Otrzymane w r. z. Rs. 7 kop. 50, na „Wychowanie Domowe“ zapisaliśmy na imię P-i. Woj... z Płocka, której wyszłe tomów 7 oddaliśmy.

P. L. Wass... w Rostowie nad Donem. Dokończenie powieści „Pieniądz i Praca“ odesłaliśmy w czasie właściwym.—Obecnie z powodu wyczerpania nakładu, nie możemy skutecznie załatwić żądania.

Sprostowanie omyłek w artykule Zarysy Pół. i Połud. Zach. Gub. Ces:

Nr. 1 str. 9 1 wier. z dołu 1 łam wydrukowano: Luorro czytaj: Snorro. str. 9—32 w. z góry—3 łam wydrukowano: nieuszedł czytaj nienaszedł. str. 10—15 w. z góry, 1 łam, wydrukowano: Kiejsuta czytaj: Kiejstuta. str. 10 w. 15 z góry, 1 łam —wydrukowano: Rżen czytaj: Rżew. str. 10, 24 w. z góry, 2 łam, wydrukowano: 27000 zł. r. czyt. 20,000 kop gr. pruskich str. 10 19 w. z dołu 2 łam, wydrukowano: Chadżykaj czytaj: Chadżybaj.

Nr. 2. str. 23, 19 w. z góry 1 łam, wydrukowano: Czerwonorusinów czytaj: Czarnorusinów—str. 23, 10 w. z góry, 2 łam, wydrukowano: dziesięciu czytaj: dziewięciu.

Nr.—3 str. 39, 28 w. z góry, 3 łam wydrukowano zakładowym czytaj: składowym.

N. 4—str. 56 w. 4, z góry, łam 1, wydruk. parafialnych w Mołodecznie. czytaj Seminaryjum nauczycielskie dla szkół parafi: w Mołodecznie—w. 6, z góry łam 2, Stefana i Radziwiłłówny czytaj Stefanii Radziwiłłówny — w. 12 z g. —Trykopolsk, czyt. Trynopolski — w. 14 — Werbowski czyt. Werkowski — w. 35 Werbowska c. Werkowska— w. 40—Polemon czytaj Palemon—Ostatni wiersz— Kernosa cz. Kernusa.

N. 5 —str. 75 łam 3 od góry, wydrukowano, Stare Trobi czytaj Stare Troki — Nowe Trobi cz. Nowe Troki—w. 5 Trobi cz. Troki — w. 7 Dorszpronga cz. Dorszprounga — w. Ghurgoni cz. Ghurgani — w. 16 Trobi cz. Troki —w. 13 od góry, holszeńskiej cz. holszańskiej str. 76 łam 1 wiersz 4 od góry— Lannog czyt. Lannoy — w. 9—kopczackiej—czyt. kapczackiej —w. 36 Niewierza cz. Niewiarze —w. 39 Wana cz. Waka — w. 46 Sztokliszkiej czyt. Stokliszkiej.

Дозволено Цензурою.—W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.